

Sekretarz generalny ONZ został poinformowany o przebiegu procesu normalizacji życia w Polsce

WASZYNGTON (PAP) — Korespondent PAP, Stanisław Głabinski pisze:

W środę, 22 grudnia, stały przedstawiciel PRL przy ONZ w Nowym Jorku Włodzimierz Natorf złożył wizytę sekretarzowi generalnemu Organizacji Narodów Zjednoczonych — Javierowi Perezowi de Cuellar i zgodnie z instrukcją

rzędu polskiego przekazał mu wypracowane informacje na temat decyzji Sejmu i Rady Państwa w sprawie zawieszenia stanu wojennego w Polsce. Amb. Natorf w swojej informacji zapoznał sekretarza generalnego ONZ z przebiegiem procesu normalizacji życia w Polsce i z podejmowanymi w tym celu decyzjami i posunięciami polskiego rządu.



■ WASHINGTON — Pomimo cięć w projekcie budżetu militarnego przedłożonego Kongresowi przez administrację Reagana, Izba Reprezentantów oraz Senat i tak zatwierdził rekordowo wysoki budżet Pentagonu na 1983 r. Pełna suma tego budżetu wynosi 232 mld dol. Jest to najwyższy budżet Pentagonu okresu pokojowego w historii USA.

■ PARYZ — W środę zakończył wizytę w Arabii Saudyjskiej francuski minister Gospodarki i Finansów Jacques Delors. Na zakończenie pobytu w Rijadzie przedstawiciel obu krajów podpisał porozumienie, zgodnie z którym Arabia Saudyjska udzieli Francji wsparcia finansowego. Nie publikowano wprawdzie tej umowy, jednakże dobrze poinformowane źródła utrzymują, iż opiewa ona na sumę 4 miliardów dolarów.

■ WARSZAWA — Jak dowiaduje się dziennikarz PAP Narodowy Bank Polski kieruje do obywateli pierwszą partię kredytów monet o nominalnej wartości 1000 zł z wizerunkiem papieża Jana Pawła II. Monety będą wprowadzane do obiegu sukcesywnie w poszczególnych okręgach, w pierwszym rzędzie przy podejmowaniu przez zakłady pracy środków pieniężnych na wypłatę wynagrodzeń.

■ LONDYN — Po zlokalizowaniu ogromnego pożaru w wenezyjskiej elektrowni w Tołma w pobliżu Caracas przystąpiło do szczegółowego śledztwa w sprawie przyczyn tragedii. Zginęło co najmniej 140 osób. Ponad 500 jest rannych.

Hipoteza o sabotażu, czyżby została niemal wykluczona.

■ LONDYN — Polica duńska poinformowała, że w czwartek osobnik podał się za członka Irlandzkiej Armii Republikańskiej (IRA) poinformował telefonicznie, iż w gmachu ambasady brytyjskiej w Kopenhadze podłożono silny ładunek wybuchowy. Bomba miała wybuchnąć 10 minut po tajemniczym telefonie. Silne bezczelności natychmiast ewakuowały personel placówki.

■ Policia skrupulatnie przeszukała budynek ambasady i przylegające do niej tereny. Informacja okazała się fałszywa, specjalnie nie znaleziono podejrzanych.

Kryzys międzynarodowej współpracy gospodarczej

NOWY JORK (PAP) — Korespondent PAP, Jerzy Górski pisze:

spotrzeżania na gospodarkę światową jako na całość.

Debata ekonomiczna, jaka odbyła się na forum 37 sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ, wykazała w sposób dobitny najgroźniejsze aspekty światowego kryzysu gospodarczego: gwałtownie zadłużenie liczących krajów świata, zwłaszcza rozwijających się, przekraczające według niektórych ocen — 800 miliardów dolarów, zagrożenie wynikające z tego faktu dla międzynarodowego systemu finansowego, inflacja bezrobocie i recesja w krajach zachodnich, a także kryzys mechanizmów międzynarodowej współpracy gospodarczej i organizacji pomocy międzynarodowej. Jednakże, mimo iż świadomość trudnej sytuacji gospodarki światowej jest coraz większa, to — jak wykazała debata ONZ — nadal dominują tendencje „obrony własnego podwórka” za wszelką cenę, w tym także środków protekcyjnych, ze

Tymczasem debata w ONZ stała się kolejną potwierdzeniem rosnącej współzależności nie tylko poszczególnych krajów i obszarów geograficznych, ale również współzależności systemów walutowych, kredytowych, deficytu budżetu poszczególnych państw itp.

Rozwinięte kraje zachodnie, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, uśmiałe lansują tezę, że decyzje dotyczące gospodarki światowej i międzynarodowego ładu gospodarczego powinny zapadać nie na forum ONZ, lecz właśnie w grupie państw, co jest bez wątpienia sprzeczne z wymogami obecnej sytuacji gospodarczej świata. Coraz liczniejsze są głosy wskazujące na ostrzegające tendencje „obrony własnego podwórka” za wszelką cenę, w tym także środków protekcyjnych, ze

Od 1 stycznia wchodzi w życie ustawa o szczególnych uprawnieniach kombatanów

WARSZAWA (PAP) — 1 stycznia 1983 r. wejdzie w życie — uchwalona przez Sejm w maju br. — ustawa „O szczególnych uprawnieniach kombatanów”.

Ustawa określa podmiotowy zakres jej obowiązywania. Kombatanem jest ten, kto uczestniczył w walkach o wyzwolenie narodzi i społeczne Ojczyzny, w bojach o niepodległość przeciwko siłom reakcji i faszystowski. Są nim także uczestnicy koalicji antyfaszystowskiej, żołnierze ruchu oporu, więźniowie hitlerowskich obozów, koncentracyjnych. Ci, którzy więzieni byli przez faszystów ze względów politycznych, narodowościowych i rasowych. Kombatanami są również ci, którzy walczyli o zachowanie polskości na ziemiach zagarniętych przez zaborców, uczestnicy Wielkiej i Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, a także ci, którzy prowadzili tajne nauczanie dzieci i młodzieży w okresie okupacji hitlerowskiej oraz ci, którzy walczyli o utrzymanie władzy ludowej w latach 1944—1948.

Z uprawnien ustawą skorzystają osoby mające obywatelstwo polskie, stale zamieszkałe na terenie PRL, jeżeli są członkami ZBoWiD lub spełniają warunki członkostwa tego Związku. Spełnienie warunków uzyskania uprawnien przewidzianych w

ustawie oraz okresy działalności kombatanckiej ustala ZBoWiD.

Ustawa zachowała wszystkie dotychczas obowiązujące uprawnienia. W szczególności: zalicza okres działalności kombatanckiej do okresu zatrudnienia, od którego zależy przyznanie lub wysokość świadczenia lub wysokości świadczenia emerytalnego; prawo przejścia na emeryturę o 5 lat wcześniej, to znaczy po uzyskaniu przez kobietę 55 lat życia, przez mężczyznę 60 lat; zwiększa urlop wypoczynkowy o 10 dni roboczych (dotyczy to kombatanów nadal pracujących zawodowo) oraz umożliwia uzyskanie emerytury lub renty przyznanej w trybie wyjątkowym, o ile kombatan nie nabył praw do emerytury lub renty na podstawie innych szczególnych przepisów.

Spśród nowo określonych uprawnien przewidzianych w ustawie dla kombatanów nadal pracujących, wymienić warto m. in. zasadę stwierdzającą, że rozwiązanie stosunku pracy z kombatanem w okresie 2 lat przed osiągnięciem wieku uprawnającego do wcześniejszego przejścia na emeryturę może nastąpić jedynie po uprzednim uzyskaniu zgody właściwego terenowego organu administracyjnego; przepis tego artykułu ma na

celu zapewnienie zwalnianemu z pracy kombatanowi opieki, a także zagwarantowanie mu możliwości kontynuowania pracy w formach i warunkach umożliwiających pełne wykorzystanie jego kwalifikacji i doświadczeń.

Istotnym uprawnieniem kombatanów, którzy nabyli prawo do emerytury lub renty i nie otrzymują dodatku z tytułu odznaczenia orderem lub tytułem honorowym, jest dodatek kombatancki w wysokości równej dodatkowi z tytułu odznaczenia orderem. Rozszerzono uprawnienia kombatanów do korzystania z opieki zdrowotnej w placówkach służby zdrowia.

Szczególne znaczenie ma art. 18 nowej ustawy, z którego kombatanom przysługuje ulga przy przejazdach miejscowymi środkami lokomocji, zniżka ceny wykupu do państwa lokalu mieszkalnego na własność, pierwszeństwo w nabyciu do państwa działki rekreacyjnej oraz pierwszeństwo w uzyskaniu zezwolenia na prowadzenie działalności gospodarczej, przewidzianej w przepisach o wykonywaniu i organizacji rzemiosła a także w przepisach o wykonywaniu handlu.

W Bonn o nowych propozycjach ZSRR

BONN (PAP) — Jak pisze boński korespondent PAP, Juliusz Solecki, propozycje rozbrojenia Związku Radzieckiego spotkały się z bardzo dużym oddźwiękiem w Republice Federalnej Niemiec. Wbrew powściągliwej reakcji rządu, który oświadczył jedynie, iż gotów jest szczegółowo zbadać wszystkie aspekty nowej inicjatywy radzieckiej, wielu polityków — oraz komentatorów — stwierdza, że Zachód powinien być niezwykle zaniepokojony na ofertę sekretarza generalnego KC KPRZ J. Andropowa. Gazety podkreślają, iż „obecnie przy-

szła kolej na USA i NATO, które powinny odstąpić od nierealistycznych żądań i podjąć kolejną rundę rokowań genewskich wyżej z wymi kompromisowymi koncepcjami”.

Przed próbami zbagatelizowania najnowszych propozycji rozbrojenia Związku Radzieckiego przez przeciwników zachodnich, socjaldemokratów Willy Brandt. Wyraził on ubolewanie z powodu pospiesznych i polemicznych reakcji, z jakimi propozycje te zostały przyjęte w niektórych stolicach zachodnich.

Będzie więcej odżywek dla dzieci

WARSZAWA (PAP) — Opolskie Zakłady Koncentratów Spożywczych — jeden z dwóch producentów specjalistycznej żywności dla dzieci — dostarczą w mijającym roku na zapotrzebienie rynku ok. 1,8 tys. ton konserw „Bobo-Vita”, czyli o 100 ton więcej niż ub. roku. Ponadto z fabryki tej żywności otrzymał ponad 3,5 tys. ton odżywek sytych dla niemowląt, w tym 1000 ton kleików zbożowych, czyli o 100 ton więcej, w porównaniu do ub. roku. Wówczas jednak nawet produkcja żywności dla dzieci przebiegała ze znacznymi zakłóceniami wynikającymi m.in. z okresowych braków mąki, mięsa cielecego, podrobów, opakowań, a nawet mleka pełnego w proszku. W tym roku zakładom w Opolu zapewniono niezbędne ilości wszystkich podstawowych surowców m.in. mleka pełnego w proszku, ryżu, oleju sojowego.

Dobre również pracowała zakłady drugiego producenta żywności dla dzieci — Zakładów Przemysłu Owocowo-Warzywnego „Fructopol” w Rzeszowie, które dostarczają na rynek soczek, przecier, zupy określone oficjalnie jako „Boburuty”. W br. planowano wyprodukować łącznie 4 tys. ton tych artykułów spożywczych. Ponadto zakłady „Fructopolu” postanowiły zwiększyć plan produkcji „Boburuty”. Wyniki osiągnięte w ciągu 11 miesięcy br. wskazują, iż rynek otrzymywał dotychczas prawie 1000 ton przetworów owocowo-warzywnych dla dzieci. Będzie to więc rekordowa produkcja rzekosowego zakładu.

Produkcja i dostawy artykułów żywnościowych z przeznaczeniem dla dzieci mają być w przyszłym roku zwiększone w porównaniu z br. Będzie to możliwe dzięki zakończeniu pod koniec I półrocza 1983 r. rozbudowy zakładów koncentratów spożywczych w Opolu.

Było kiedyś „Życie Białostockie”

Czy Białostok stać na drugą gazetę?

Starsi białostoczanie pamiętają, że w ich mieście wychodził niegdyś dwa dzienniki, serięmłowi „Gazeta Białostocka” (poprzedniczka „Gazety Współczesnej”) oraz „Życie Białostockie”. Drugi tytuł okazał się efemerydą, zniknął z czytelnickiego rynku dość szybko, skreślony ostatecznie arbitralną decyzją, która zignorowała starania krępowanego właśnie małego zespołu dziennikarzy, ale co gorsze — zlekceważyła rosnące z miesiąca na miesiąc liczbę stałych czytelników. Przez trzydzieści lat myśl o drugiej gazecie kołatała się w głowach znacznej części miejscowego środowiska dziennikarskiego, nie znajdując jednak odpowiedniej polityki, nie mówiąc już o konkretnym wsparciu tw. decydentów. Raczej — jak to się mówi — wprost odwrotnie... Nawet w osławionej minioniej epoce, za przeproszeniem, „propagandowy sukces”.

Kilka tygodni temu zaświadcza wreszcie, iskliska nadziei. Wśród działaczy białostockiego PRON powstała myśl wydania i tzw.

jednodniówki, a środowisko białostockich dziennikarzy — wśród nich niegdyśjszy animator „Życia Białostockiego” — rozstało wici o pospolitym ruszeniu. W ciągu niewielu dni powstał szkielec zespołu redakcyjnego i jednodniowej gazety, która ma przybrać się w ciału w tygodniu poświęconym Janczynie pełna para ruszyła starania o kształcenie jednodniówki w stała popołudniową gazetę codzienną, taki białostocki „ekspres”. Jak się ostatnio dowiadujemy, starania te są na najłepszej drodze i najprawdopodobniej w drugim kwartale przyszłego roku wracając z prasy będzie my już mogli kupić w kiosku „Ruchu” białostocką popołudniówkę.

Tytuł „Życie Białostockie” to rezultat — jak już wspomnieliśmy — obecności wśród inicjatorów byłego szefa „Życia”. Zespół redagujący jednodniówkę traktuje wszelkie ten tytuł jako sygnał wywołujący, nie przesadzając ostatecznie jego stałego brzmienia, zwracając się zarazem do czytelników o nadsyłanie propozycji tytułów. W najbliższym czasie

Posiedzenie KW PZPR

Na swym ostatnim posiedzeniu Egzekutywa KW PZPR w Łomży zapoznana się z informacją o przebiegu konferencji sprawozdawczej, a także oceniła działalność Rejonowego Ośrodka Pracy Partyjnej w Łomży.

Województwo łomżyńskie jako jedno z pierwszych w kraju zakończyło kampanię sprawozdawczą. Przebiegała ona przy stosunkowo wysokiej frekwencji. W gminach w obrębie których uczestniczyło średnio 85,7 proc. delegatów, w miastach-gminach około 70 proc.

Dyskusja była rzeczowa, często krytyczna. Trzeba jednak podkreślić, że na szeregu konferencji debatę partyjną cechowała jednokierunkowość. Poruszano głównie problemy natury gospodarczej, braku środków produkcji rolnej, niewłaściwego rozdziału maszyn, materiałów, gospodarczych, budowlanych. Odnośno się niekiedy wrażliwość — piszą autorzy materiału dotyczącego przebiegu konferencji — że jest się uczestnikiem sesji rad narodowych, a nie partyjnych konferencji.

Nawiązywano w dyskusji do idei tworzenia frontu popierania narodowego. Mówiono o uczestnictwie członków partii w PRON, potrzebie rozwijania samorządności wiejskiej i w zakładach pracy. Sporo miejsca zajęły problemy reformy. Wszystkie głosy, bez względu na to czy dotyczyły spraw ekonomicznych, społecznych, politycznych czy też wewnątrzpartyjnych — dotyczyły zagadnienia dla Polaków najważniejszego; jest nim udział PZPR w wyprowadzaniu kraju z kryzysu społecznego-gospodarczego, w przywró-

Egzekutywa w Łomży

caniu właściwego miejsca zasadom sprawiedliwości społecznej, budowaniu mechanizmów, które w przyszłości zapobiegają kumulowaniu się napięć społecznych, błędów w zarządzaniu gospodarką i podejmowaniu ważnych decyzji politycznych.

Dorobek kampanii ma dla wojewódzkiej organizacji partyjnej ogromne znaczenie. Wpłynęła ona na mobilizację na wszystkie jej ognia, ukazała jak w jej szeregach przebiega proces odnowy i co odnowie przeskądza.

Rejonowy Ośrodek Pracy Partyjnej w Łomży — obejm-

Zalogi „Uchwyty” i „Biazeu” mają swoje związki

INFORMACJA WŁASNA

Podobnie jak w całym kraju również w naszym regionie sądy dokonują rejestracji związków zawodowych. W dniu wczorajszym na posiedzeniu Sądu Wojewódzkiego w Białymstoku sędzia Sylwester Kondracki rozpatrywał wnioski siedmiu komitetów założycielskich. Osobowość prawną uzyskała organizacja „Uchwyty”, która przyjęła oficjalną nazwę: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Przedsiębiorstwa Fabryki Przyrządów i Uchwyty w Białymstoku. W imieniu 158 wpisanych na listę założycieli związku z wnioskiem o rejestrację wystąpili: Andrzej Sienkiewicz, Ryszard Łaskarzewski, Aleksander Bazarzewski, Ryszard Aleciurczak i Ludomir Szubda.

Związkowcy z „Uchwyty” prawidłowo przygotowali określone wymogi prawnymi dokumenty. Statut nie wzbudził żadnych zastrzeżeń. Sądu, więc odstąpił czasu między złożeniem wniosku a uzyskaniem osobowości prawnej był nadzwyczajny krótki. Wniosek z datą wpływu 14 grudnia br. został zarejestrowany w dziewięć dni później. Reprezentacja zalogi „Uchwyty” wzięła zespołowi sądownemu wiankę goździków.

Związek zawodowy jednego z największych w naszym regionie zakładów po wybraniu zarządu będzie mógł podjąć statutową działalność. Założyciele spodziewają się, że deklaracje członkowskie zechcą złożyć nie tylko pracownicy tej zakładu, ale i listy złożone w Sądzie wraz z wnioskiem o rejestrację. Choć wątpliwości nadal jest wielu, przybywa jednak tych, którzy zdają so-

muje swym zasięgiem instancje stopnia podstawowego w Łomży, Śniadowie, Mławie, Nowogrodzie, Jedwabnem, Piatnicy, Włocławku, Złoczynie, czyli 167 POP liczących 2134 członków. Roczny okres działalności tego ośrodka udowodnił, że utworzenie tego ognia w strukturze PZPR było celowe. Jego przydatność sprawdziła się w różnych trudnych dla partii jak całości i poszczególnych instancji sytuacjach. Egzekutywa wysoko oceniła dorobek ROPP w Łomży. Stwierdzając, że wiele wypracowanych form miało i powinno być przeniesionych do ognia, podstawowych i do innych ROPP. Prowadzona jest tu systematyczna działalność szkoleniowa i informacyjna, m.in. praca z radnymi, młodzieżą. Panuje atmosfera wzajemnej życzliwości, zaufania i koleżeństwa. (z p)

Również wczoraj zarejestrowany został wniosek reprezentantów zalogi „Biazeu”. Tu myśl o potrzebie założenia związku zawodowego zrodziła się natychmiast po ogłoszeniu ustawy sejmowej, 15-osobowy komitet założycielski uformował się w poniedziałek, 11 października; Sejm, jak wiadomo, uchwalił ustawę 8 października. Dość dużo czasu zajęły jednak prace przygotowawcze oraz dążenie do konsultowania dokumentów związkowych z możliwie dużą częścią zalogi.

Ostatecznie wczoraj zapadł werdykt pozytywny o rejestracji związku o nazwie Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Białostockich Zakładów Podzespołów Telewizyjnych „Uchwyty” w Białymstoku. W jej składzie znajdują się także pracownicy oddziału terenowego w Kny-szyne. W imieniu blisko 200 zadeklarowanych już członków złożyła w Sądzie wystąpiła 5-osobowa reprezentacja: Marian Małkowski, Mirosław Panasiuk, Romuald Awier, Janusz Raciewicz i Józef Kwa-czycki. Przebieg aktu rejestracyjnego został utrwalony na taśmie, a więc z przebiegiem uroczystości zapoznają się słuchacze zakładowego radiowęzła, a także Polskiego Radia.

W dniu wczorajszym Sąd Wojewódzki w Białymstoku rozpatrywał wnioski o rejestrację pięciu innych organizacji związkowych, ale oreczzenia zostaną ogłoszone w środę, 29 grudnia br. (p)

Z prac sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej

WARSZAWA (PAP) — Jak dowiaduje się PAP, w sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej toczą się intensywne prace zmierzające do zbadań zarzutów postawionych b. prezowi Rady Ministrów Piotrowi Jaroszewiczowi oraz wiceprezowi Rady Ministrów: Tadeuszowi Pyce, Janowi Szydłowskiemu i Tadeuszowi Wrzeszczykowski.

Obwinieni składają obecnie wyjaśnienia i zgłaszają dowody, natomiast komisja prowadzi z urzędu postępowanie dowodowe w zakresie wynikającym z postawionych zarzutów. Największa uwaga komisji skierowana jest na groźdzące dokumenty wyżej wymienionych w latach 1975—80.

Postanowienia budzące nadzieje

Ciąg dalszy ze str. 1

dóbr kultury, zwłaszcza w środowiskach i grupach społecznych mających trudniejszy z różnych powodów dostęp do tych dóbr: robotników, chłopów, mieszkańców małych miasteczek, części młodzieży.

Uruchomienie i funkcjonowanie Funduszu Rozwoju Kultury budzi więc uzasadnione nadzieje, że przede wszystkim to ostatnio zażądane odcinki działalności kulturalnej, jak placówki upowszechniające kulturę, w tym ulegające częściowej likwidacji zakładowe domy kultury i biblioteki, uzyskają poważne wsparcie, zanim uchwala zostanie i wejdzie w życie przewidywana na rok przyszły sejmowa ustawa o upowszechnianiu kultury i karta działalności kultury.

Nie mniej ważne jest to, iż oczekuje się dobroczynnego działania funduszu w zakresie zapewnienia dostępności dóbr kulturalnych młodym i najmłodszym obywatelom, którzy najmocniej odczuwają skutki ekonomicznych reform gospodarczych, wzrost np. cen biletów, cen książek czy w ogóle możliwości ich zdobycia w księgarniach. Nie można dopuścić by ta rosnąca i przyszłocłowa kategoria odbiorców kultury straciła z dnia na dzień, wypadła nagle z budżetu, bo skutki tego byłyby fatalne i nigdy nie do odrobienia — w myśl powiedzie-

nia, że czym skorupka za młodu nasiąknie... Jeśli Jas nie przeczyta za młodu odpowiednich lektur, to nie tylko jego świat — także i ten „dorosły” — będzie uboższy o pewne doświadczenia i przeżycia, ale i ogólny jego rozwój pójdzie może, jak mówią pedagogicy i wychowawcy, w niewiadomym i niepożądanym kierunku.

Wprowadzany w życie od 1 stycznia 1983 roku Fundusz Rozwoju Kultury narodowej ma bezprecedensowy charakter w zakresie stowarzyszeń i mechanizmów finansowania życia kulturalnego w naszym kraju. Jak będzie funkcjonował pokaże dopiero praktyka. Już dziś wszystko wskazuje jednak na to, że głównym problemem nie będą same środki finansowe, a sposób ich racjonalnego zagospodarowania w znanej nam wszystkim sytuacji gospodarczej kraju. Ale pamiętać też trzeba, że poza funduszem centralnym, istnieć też będą, pochodzące ze środków lokalnych i dotacji ministerstwa, fundusze wojewódzkie i gminne. Od ich wykorzystania i spożytkowania przez terenowe władze i działaczy kulturalnych zależy bowiem będzie funkcjonowanie kultury na co dzień, nie mniej, mówiąc ogólnie, niż w przypadku centralnego dysponowania środkami, które stwarza „tylko” ogólne ramy materialne i niezbędne kierunki działania.

(KAR)
JANUSZ TERMER

Prawo okresu zawieszenia stanu wojennego

Przeciw osłabianiu państwa

1 stycznia 1983 r. zaczyna obowiązywać przepis zawarty w ustawie z 18 grudnia br. o szczególnej regulacji prawnej w okresie zawieszenia stanu wojennego. Od momentu uchwalenia, a nawet wcześniej przed podaniem do publicznej wiadomości treści proponowanych rozwiązań, koncepcja zawieszenia stanu wojennego stała się przedmiotem ostrej walki politycznej. Opozycja upowszechniała tezę, iż w zasadzie nowe uregulowania prawne nie nie zmieniają, że stanowią tylko fasadę.

Jak jest w rzeczywistości?

Zasadnicza różnica między prawem stanu wojennego a uregulowaniami okresu zawieszenia tego stanu zawarta jest w myśli przewodniej obu tych rozwiązań. O ile prawo stanu wojennego ograniczało w sposób istotny swobody i prawa obywatelskie ogółu społeczeństwa, o tyle prawo okresu zawieszenia stanu wojennego gwarantuje wszystkie uprawnienia obywatelskie i pełnię swobód tym wszystkim, którzy pragną żyć i pracować w spokoju i nie zamierzają łamać obowiązującego prawa. Natomiast ci, którzy dopuszczają się czynów godzących w podstawowe interesy państwa i to niezależnie od motywów, pobudek i rodzajów tych czynów muszą się liczyć z surową odpowiedzialnością karną i administracyjną przewidzianą w ustawie z 18 grudnia br.

Ograniczenia praw obywatelskich w okresie zawieszenia stanu wojennego dotyczą w zasadzie jednego elementu — swobody dysponowania kontami dewizowymi. Jest to jednak uciążliwość dla stosunków niewielkiej części społeczeństwa.

Obywatel ma więc prawo zrzec się, działać w legalnych organizacjach politycznych i społecznych, stowarzyszeniach, zachować prawo do tajemnicy korespondencji, może organizować lub uczestniczyć w strajku, o ile będzie on przeprowadzony zgodnie z obowiązującym prawem związkowym.

W działalności samorządów — w okresie zawieszenia stanu wojennego — przewiduje się tylko dwa ograniczenia. Dotyczą one wpływu na mianowanie dyrektora przedsiębiorstwa oraz możliwości zawieszenia działalności samorządu, który naruszy porządek prawny lub podstawowe interesy społeczne.

Nadal też obowiązywać będzie zastrzeżona dyscyplina pracownicza w zakładach o szczególnym znaczeniu dla obronności i gospodarki kraju.

Prawo okresu zawieszenia stanu wojennego nie jest i nie może być liberalne w stosunku do ludzi, pragnących nadal burzyć ład i porządek, wnieść niepokój społeczny. Zgodnie z art. 5 omawianej

ustawy istnieje możliwość rozwiązania umowy o pracę bez wypowiedzenia z uczestnikami zażół lub innych zamieszek lub skreślenia ich z listy studentów.

Charakterystyczne, iż tryb dorozą — a więc znaczne obciążenie — może być stosowany wyłącznie w odniesieniu do ciężkich przestępstw politycznych: zabójstwa, morderstwa, kradzieży, podpalenia, zabójstwa, rozbójstwa, brutalnych kradzieży, w odniesieniu do aferaży dewizowych i gospodarczych, a także przeciwko nieuczciwym przedstawicielom władz administracyjnych, gdyż tryb ten stosuje się zarówno w przypadku kwalifikowanego łapownictwa, jak i plannej protekcji.

Natomiast przestępstwa wymierzone przeciwko podstawowym interesom politycznym państwa będą — na zasadzie wyjątku — rozpatrywane przez sądy wojskowe. Nie przewiduje się tu stosowania, — jak dotychczas — trybu dorozą.

W sumie przeciętny obywatel w przejściowym okresie zawieszenia stanu wojennego nie odczuje najmniejszych rygorów lub ograniczeń. Odczuć je natomiast może i powinien każdy próbujący zakłócić spokój społeczny, przestępca kryminalny, nieuczciwy urzędnik.

(KAR)
GRZEGORZ WOLFF

KRONIKA milicyjno-sądowa

■ Przed Sądem Wojewódzkim w Łegniewie odpowiadał 26-letni Ryszard Kłosek. Spędził on noc z 19 na 20 lipca 1980 r. w towarzystwie 2 kobiet w domu w Łegniewie z legnickich restauracji. Pod koniec zabawy do trójki tej dołączył jeden mieszkaniec Łegniew, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również groził nożem, zgwałcił. Morderca sam zabił się do Kłosek, który zaprosił przynajmniej jednego z nich do swojego domu. W mieszkaniu tym, w czasie zabawy, wywiązała awantura, podobała się R. Kłosek skrzył całej trójce kuchennym nożem i zabójstwem. Jedną z kobiet widząc na to, że znowu wywiązała awantura, zaczęła wzywać pomocy. Wówczas zbrodniarz zabrał jej kilka złotych, a jedną z kobiet, również zabrał drugą z kobiet, również gro



NA ZDJĘCIU: W tym roku, tak samo jak przed laty, usiadłszy wszyscy razem, całą naszą rodziną przy wigilijnym stole. Będzie z nami również nasza sąsiadka...
Fot. ZDZISŁAW LENKIEWICZ

Czy ta Wigilia ludzi nam odmieniła?

Ciąg dalszy ze str. 1

Maria, córki: Ania — która pracuje w spółdzielczości pracy, Marynia — co pracuje w „Agnelli” — no i nasza sąsiadka — Franciszka Wysocka. Zona ja prosiła. Wszak mieszka się razem. Są ludzie, którzy w ten wieczór ogromnie odczuwają swą samotność. Nie mogą więc być sami. Córki pamiętają o tym. Wierze, że dochowają tradycji.

Siedzieliśmy przy stole. Tak samo jak przed laty. Był opłatek, życzenia, śledzik, ryba po polsku, tradycyjna kutia, barszcz z uszkami, kompot, ciasto, strudel, trochę winka, bo wódki przy tym święcie nie powinno się podawać...

Czego sobie wówczas życzyliśmy? Spokojnego roku, nie więcej. To wówczas było najważniejsze. Zona zaraz potem wyszła. Widzi pan, tak jest, prawda, stary portfel, trzeba dorobić.

Przeszliśmy do drugiego pokoju, gdzie była choinka i drobne prezenty. Chociaż było ciężko, ale Święty Mikołaj pamiętał o nas. Słuchaliśmy koled i w mieszkaniu i w telewizorze. Taki

to był nasz wigilijny wieczór.

A jaki był miniony rok? Sporo się zmieniło, to fakt. Z zaopatrzeniem jakby troszeczkę lepiej. Ale czy ludzie tak bardzo się zmienili — trudno w tej chwili jednoznacznie powiedzieć. Może przybyło trochę życzliwości i trochę tego serca, ale to jeszcze za mało. Może nerwów u ludzi jakby trochę mniej. Naród jeszcze taki trochę zwyczajny. Zadrzy są jeszcze i zapewne tkwić będą długo.

Zona mówi, że na to trzeba pokoleń, że wciąż jeszcze brak głębszego porozumienia, że sporo jeszcze zazdrości i zwykłej ludzkiej zawiści, że nastroj wciąż nie najlepszy, że nie widać wyraźnych perspektyw. Brak nam tej kultury na co dzień. I tak też jest wśród ludzi. Nie ma co ukrywać.

Mówi się o porozumieniu. Pamiętam list polskich biskupów. Trzeba wybaczać. Trzeba do tego dojść, zrozumieć. Na pewno nie będzie to łatwe. Ludzie szukają autorytetu, to rozumie. Ale na wielu autorytetach się zawiedli. Jest jeszcze wiele obaw, sporo nie-

ufności. W moim przekonaniu autorytet jest potrzebny i dobrze gdy jest. Musi to być jednak autorytet przekonujący.

Taka więc była Wigilia przed rokiem. A jak będzie dziś, przy tegorocznej „Wigilii”? Wtedy, przed rokiem, na początku było strasznie. Każdy się bał i każdy przeżywał. Dziś do Wigilii usiadłszy nieco spokojniejsi.

Nasza Wigilia będzie taka jak w wielu polskich domach, jak w wielu polskich rodzinach. Zasiadłszy my znów razem. Na tych samych miejscach. Zona zawsze jak najbliżej drzwi od kuchni. Wiadomo, chce wszystkiego dopilnować. Obok żony — córki, potem sąsiadka — no i ja. Na stole kilka zielonych gałązek, żeby czuć było tym świętym. Opłatek, od tego go zaczniemy. Chyba nie zdobędziemy śledzika. Będzie za to karp, kutia (peczak już nawet kupiłem), barszcz czerwony z uszkami, strudel, piernik, kompot. Zona znów będzie musiała wyjść. Trudno, takie jest życie.

Koledy, polskie koledy.

Pierwsza — jak przed rokiem — „Wśród nocnej ciszy”. To chyba nasza najstarsza koleda. Pamiętam, było to w roku 1940, nasz chór oficerek zaczął śpiewać „Wśród nocnej ciszy”, to się nam całe nasze bractwo wojskowe, co to już było i po opłatku, i po Wigilii (chyba 300—400 osób), później popłakało. Daleko wtedy było do domu, a każdy myślał przy rodzinie...

W tym roku będą takie same życzenia. Zona powie, że może być nawet gorzej, ale spokojnie, to porozumienie. Bo tego trzeba ludziom, bardzo trzeba.

Wigilia, choinka, opłatek, życzenia. Nastroj jedyny w roku, bo Wielkanoc — mi-mo wszystko — to już nie to. Przy Wigilii są chwile najbardziej wzruszające, nastroj jakiś inny wśród ludzi. W takiej chwili wszyscy Polacy potrafia się pogodzić.

Przydałby się nam taki nastroj na co dzień, bardzo by się przydał. Szkoda, że — niestety — zbyt szybko przemija.

BOHDAN HRYNIEWIECKI

Ciąg dalszy ze str. 1

boju i w czasach pokoju, dzieląc z nimi radość zwycięstwa i gorzkie porażki. Pierwszy zachowany z tego okresu (około 1730 r.) orzeł znalazł się na kaszkiecie grenadierów gwardii pieszej koronnej. W myśli przepisu z 1791 r. czapkę szeregowego piechoty i doborczy pułkowych zdobiła blachna naszelna, na której znajdował się orzeł. Orły zaczęto umieszczać także na bandolierach, kłamiach pasów, pokrywach ładownic, na czapkach, guzikach mundurów, a później na grotach sztandarów.

Orły z czasów Sejmu Czteroletniego zabłysły po raz ostatni pod Maciejowcami i od tego czasu przez dwadzieścia lat nie było ich na żołnierskich czapkach. W armiach Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego utrzymał się orzeł polski na żołnierskich nakryciach głowy. Z tego okresu pozostał i związany się trwał z wojskiem polskim element dekoracyjny — półokrągła blachna obwieszona szerokim szlakiem zdobionym gwoździami — nazywany tarczą amazońską. Obok orłów noszono również metalowe lub sukienne kokardy o barwach narodowych, bardzo często z nakładanym orłem bez tarczy amazońskiej. W okresie Powstania Listopadowego występował orzeł z tarczą amazońską, na której znajdowała się mała tarczka

z numerem pułku. Znak orla przechowywany, po klęsce Powstania Listopadowego, jako największa relikwia, pojawił się w okresie Powstania Styczniowego, w czasie którego, (oprócz orla bez korony) noszono orły innego typu oraz kokardy o barwach narodowych, a także kokardy z orzełkami.

W okresie poprzedzającym

lekkie i legionowe oraz dość wernie wzorowane na orłach Królestwa Polskiego. Te legionowe i strzeleckie były mniejszych rozmiarów, na tarczy amazońskie miały tłożoną literę „S” („Strzelec”) lub „L” („Legion”) i nie posiadały korony. Orły wzorowane na orłach wojska polskiego z lat 1815—1831, nieco większe i z koroną, na wewnętrznych tarcz-

Znak orla

wybuch I wojny światowej polski orzeł znów powrócił na czapki w formie oznaki Polskich Drużyn Strzeleckich czy też Drużyn Bartoszowych. W okresie tym akcentowanie narodowego charakteru polskich formacji ochotniczych odbywało się głównie przez przypinanie polskiego orla na nakryciach głowy, często obcych wzorów, bądź też na naramiennikach mundurów i piaski. Orzeł towarzyszył także żołnierzom formacji wojskowych w czasie I wojny światowej. Noszono je w Legionach Polskich w latach 1914—1917 — tzw. orły strze-

czach miały najczęście numer lub oznakę artylerii albo saperów — rzadziej literę „S” i „L”. Również żołnierze formacji polskich utworzonych na Wschodzie — na Syberii, a także w Stanach Zjednoczonych i we Francji nosili na czapkach i rogatywkach orleki różniące się jedynie stylizacją bądź też sposobem wykonania czy materiałem. W okresie powstań śląskich oraz Powstania Wielkopolskiego noszono na czapkach orleki różnych typów. W 1919 r. wprowadzono orły typu ogólnowojskowego z numerem na tar-

Jest ich prawie setka. Wszyscy są młodzi, pełni energii, trochę beztroscy. Wyróżniają się spośród swoich rówieśników zachowaniem, elokwencją. Ich adres — Bielsk Podlaski, ulica Hołowiecka 14, Zespół Szkół Rolniczych. Są uczniami tej szkoły. Uczą się, ale też śpiewają, grają i tańczą w zespole „Podlaskie Kukułki”. Znają ich w wielu regionach kraju.

W ciągu dziesięciu lat istnienia około 700 razy występowali na krajowych scenach. Za każdym razem prezentowali wysoki poziom w tańcu i śpiewie, zdobywali uznanie wśród publiczności, niejednokrotnie wzbudzali zazdrość. Nieobce im są również sceny zagraniczne. Trzykrotnie wyjeżdżali do ZSRR. Podlaskie tupały, mazury i polki wywiali przed tłumami, swoich miłośników między innymi w Grodnie, Świsłoczy i Nowogrodzie. Byli też gośćmi polskich i zagranicznych pionierów.

Przygoda, która zaprowadziła ich na estradowe wyznę rozpoczęła się przed 10 laty. W Bielskim Technikum Rachunkowości Rolnej istniał 12-osobowy dziewczęcy zespół wokalny. Ówczesny dyrektor szkoły — Aleksander Wiśniewski czynił ogromne starania, aby w kie-

rowanej przez siebie placówce zorganizować zespół estradowy. Miał on jednak zasadniczo różnić się od popularnych wówczas grup młodego uderzenia. Ponadto z założen programowych wynikało, iż będzie to zespół regionalny, opierający swój program na ludowym tańcu, śpiewie i różnych obrzędach. Przy jego organizowaniu aktywnie pomagał dyrektorowi wielki miłośnik i znawca folkloru, nauczyciel mechanizacji rolnictwa Mikołaj Turkowicz, a także długoletni kierownik kapeli, nauczyciel ze Szkoły Muzycznej I stopnia — Eugeniusz Sacharzewski. Ogromne zaangażowanie i upór szybko zaowocowały.

W 1973 roku żeńska grupa wokalna z bielskiego TRR prowadzona przez Mikołaja Turkowicza na przesłanie zespołów szkół rolniczych



Kupić, nie kupić ale potargować można.
Fot. KRZYSZTOF SWIDERSKI

mu, inne czekają na opracowanie. Ponadto w czasie tych podróży zawarto wiele przyjaźni z ludźmi najstarszych kolegów i koleżanek, członków zespołu. Razem śpiewali, razem tańczyli, a następnie połączyli się na

„Kukułki” rodem z Podlasia

w Białymstoku została zauważona przez znawców i wywołowała wielkie zainteresowanie. Był to dobry omen. Wiosną o wyróżnieniu szybko rozstrzygnięto i o tej porze młodzież coraz bardziej garmela się do śpiewającej gromy. W tym samym roku powołano przy zespole kapelę i grupę baletową, zatrudniono choreografa — Jana Krupę, który bardzo szybko nawiązał kontakt z młodzieżą.

Śpiewająca i tańcząca grupa szybko czyniła postępy. Zaczęły się udziały w różnego rodzaju konkursach i przeglądach, wyjazdy do innych województw, zagraniczne wyjazdy. Wszędzie entuzjastycznie witano bielską młodzież. Jak z rogu obfitości sypany się nagrody i wyróżnienia. Bożaty był w imprezy rok 1975. Najpierw wyjazd do Warszawy i udział w Panoramie XXX-lecia, następnie — festiwal w Kielcach i występowa, wytańczona Brązowa Jodła. W roku następnym była to już Srebrna Jodla, a w 1978 — Złota. W tym samym roku wypadł udział w Koncercie Galowym TWP w Plochow, a na V Festiwalu Zespołów Ziemi Polski Północnej — Gdańsk—Sopot 1979 — „Podlaskie Kukułki” zdobyły II miejsce.

Jego członkowie nie tylko przychodzili na próby i występowali na koncertach. W okresie wakacji letnich wyjeżdżali na długie rajdy po Podlasiu, spisywali od najstarszych mieszkańców wsi stare i melodie dawnych pieśni, śledzili niejednokrotnie szatańskie fragmenty obrzędów. Zapisywali wszystko, a następnie odtwarzali i wprowadzali do swojego programu. Ciągłymi i rożnymi przejeżdżali szlakiem od Drohiczyńska aż do Radzyńska Podlaskiego. Byli w województwie siedleckim i białsko-podlaskim, w Mielniku i Kalinówce Królewskiej, w okolicach Moniek i Siemiatycz. Płon tych wypraw był obfity. Zebrano słowa setek starich, rzadko śpiewanych już pieśni. Część ich wprowadzono do progra-

szego pokolenia, tymi, którzy kultywują jeszcze dawne zwyczaje i obrzędy są skarbnicą naszej kultury. Młodzież na dobre zaprzyjaźniła się z Marią Marciniak z Ciechanowca. Od niej uzyskała całą serię starych pieśni i porzekadeł, dowiedziała się, co dawniej śpiewano na weselach i innych uroczystościach rodzinnych i wiejskich. Pani Marciniak jest teraz w stałym kontakcie z zespołem, przyjeżdża na jego koncerty.

Swoją dwu- i pół godzinny program młodzież z Zespołu Szkół Rolniczych zawsze zaczyna piosenką „Kukuleczka”. Jest w nim ponadto polonez, mazur, kujawiak i oberek, suity — lubelska i rzeszowska. Trzon programu stanowią jednak tańce, pieśni i wesołe skoczki pochodzące z regionu podlaskiego, a wśród nich — wyścinki podlaskie, piosenki żałobne z Podlasia, wesele podlaskie i obrzędowe. Niektóre piosenki towarzyszą zespołowi od momentu jego powstania. W czasie dalekich wyjazdów i wakacyjnych wędrowek prawie zawsze śpiewa się „Kukułki”, „Kukuleczka podlaska”, „Dziwują się ludzie”, „Tam pod borem”, „Oj stary, ja se stary”, „Czerwone jagody”.

Młodzież należąca do „Podlaskich Kukułek” stanowi zgrany kolektyw towarzyski. W jednej szkole uczą się, razem przebywają na próbach, a także wiozują po kraju i za granicami. Z reguły są dobrymi uczniami, mają wiele wspólnych zainteresowań, nade wszystko uwielbiają zaś stare piosenki. Dawna tradycja stała im się bardzo bliska. Dobrze wiedzą, że dzięki nim, część tej starożytności udało się uchronić przed bezpowrotnym odejściem, przekazać następnym pokoleniom. „Podlaskie Kukułki” stanowią żarną, sympatyczną rodzinę. Oprócz wesela podlaskiego, które niejednokrotnie pokazywali na scenie, wspólnie przeżyli już kilka autentycznych wesel

całe życie. Niezacomniane były to wesela, też z dawnymi obrzędami z Podlasia, a wszyscy ubrani byli w ludowe stroje.

Oprócz wielu szczęśliwych chwil, które tak szybko przemijają, młodzi ludzie z zespołu przeżywają swoje smutki. Wszystko zaczyna się w momencie ukończenia nauki. Wraz z odejściem ze szkoły trzeba pożegnać się z „Kukułkami”, z kolegami i koleżankami, z którymi tyle wspólnie przeżyło się. Nie ma mocnych w takich chwilach, placza nawet chłopcy. Wszyscy ci, co odchodzą bardzo przeżywają ten fakt, piszą smutne listy, na większe uroczystości swego dawnego zespołu przyjeżdżają nawet z odległych kranów Polski. Niektórzy po kilku latach pracy wchodzi na scenę ze swoimi młodszymi kolegami i tańczą bez pominięcia najmniejszego błędu tak, jak to dawniej bywało. Niektórzy blisko pracują i utrzymują stały kontakt z zespołem, niejednokrotnie wyjeżdżają z nim na koncerty i występują na scenie nie będąc już od kilku lat uczniami szkoły.

Część z tych, co kończą naukę, szybko odnajdują swoje miejsce. Wstępują do innych zespołów, najczęściej ludowych. To dawni członkowie „Podlaskich Kukułek” stanowią trzon zespołu „Przezioreczka” istniejącego przy bielskim PGR. Po kilka osób tańczy w „Kurpiach Zielonych”, „Kleokociach”, a także w zespole ARSGGW w Warszawie. Są i tacy, którzy dalsze swoje losy w inny sposób związały z kulturą. Są dyrektorami gminnych ośrodków kultury, instruktorami. Niektórzy samodzielnie prowadzą zespoły. Wspólna cecha ich wszystkich jest to, że nie chcą stracić tego, czego uczyli się przez kilka lat, w czym doszli do perfekcji i co pokochali.

PAWEŁ GILEWSKI
Fot. KRZYSZTOF SWIDERSKI

Czas oczekiwania

Od Wigilii do Wielkiego Postu, w czasie wianowania starego z nowym trwa koleda. Owe czas oczekiwania wypełniają wózbami i magią ludową, jest najbardziej widowiskowy w całym roku obrzędowy. Na spektakl bożonarodzeniowy składa się wiara w to, że w wigilijny wieczór przemawiają nawet bydłota, „budzą się” owocowe drzewa, a pannom oczekującym zamałpójścia — los sprzyja wyjątkowo. U Łukasza Golebiowskiego czytamy, że w Wigilię opisywano stół tańczący, „ażeby się chleb trzymał”, a pod stół wkładano żelazny pług, „żeby krety roli nie psuły”. Z ustawionych w kącie chaty spódn dziewczęcy ciągnęły kłosa; zielony — ślub w Zapusy, żółty — staropamiństwo.

Na Pomorzu istniał zwyczaj rzucania grochem o ścianę, a także liryczne misterium wypraszania od drzew urodzaju przez dotknięcia piła małym dzwoneczkiem. Zwyczaj nakazywał prosić drzewa o pójnoy i to w samej bielnie. Nowy Rok witano w sposób wyjątkowo hałaśliwy — waliło o półnoy w białe, tłukąc butelki i strzelając z balów, a zdarzało się, że cały arabiński wóz nierzadko z koniem, znalazł się, rzec jasna za sprawą Złego, na dachu stodoły, nie mówiąc o takich figlach, jak zatykanie kominów i brudzenie szyb takich.

Przed wszystkim jednak był to korowód masek i maszar, wśród których tej wiodł zaczepny i wesoły Turon, o którym wiadomo, że „Dzieje się to sposobem, dwóch parobków trzyma na powrozie trzeciego”, oraz karnawałowa kosa „klapiąc pyskiem goni za dziewczętami”. Na Kurpiach i Podlasiu był również zwyczaj chodzenia z ko-niem, którego udawał chłopiec przykryty prześcieradłem. Koń kurpiowski rożnuchany i zabawny zjawiał się w karczmie przed popielcową środą, wywraczał butelki z wódką, pasł światło i motłóg wyganiał biesiadników. Zwykle koń taki miał ogon z lnu i wiąże się go ze zwyczajem konopnego tańca, który kończył Zapusy, a miał zapewne dobry urodzaj — „uysyki len”.

Z innych „aktorów” bożonarodzeniowego korowodu dużą sympatią cieszyły się: niedźwiedź, żuraw i bocian. Niedźwiedź — zwiastujący rębne silne co szlachetne chroń człowieka, bocian — zapobiega pożarom, a koń wyobraża ducha zmarłego krewnego. Duchom bliskich, zmarłych posmięcony był zwyczaj palenia ognia — żeby mogli się ogrzać — który przetrwał do dziś w postaci chłonników lampki, bo również duchy wciągano w zabieg mające poprawić jeśli nie plony to przynajmniej samopoczucie w Nowym Roku.

Zwyczaj chodzenia z gwiazdą i szopką jest od kozy i niedźwiedzia nieco późniejszy. Widowisko z Herodem, Śmiercią, Żydem i Diabłem rozwija się wspólnie jako forma ludowego teatru wywiedziona z wczesnośredniowiecznego misterium religijnego, przy czym rozwija się również jako rodzaj plastycznej twórczości. (ank)



Kukułki pod szczesliwym gwiazdą



Ze tute sztyki chodzą do piekła baś ty brzydki

Fakt — statystyk nie znoszę. Ale, że każdy z nas ma coś z maso-histy, więc kiedy pewnego wieczoru siedziałem z wygodnie wyciągniętymi nogami i oglądałem kolejny film, zastanawiałem się, który z moich znajomych ma zamiar bić świnia na święta, wpadłem na pomysł dokonania rozrywkowej statystyki.

Wobec statystyków zawsze miałem kompleks niższości. Zawsze wiedzieli więcej i lepiej ode mnie. Na ten przykład o moim żółdaku. Dwa lata temu stwierdził, że jako statystyczny obywatel PRL zjadam 74 kg mięsa i jego przetworów, a mnie wychodziło o 20 kg mniej. Fakt — tłumaczył sobie — są tacy, którzy palą nawet dwa razy tyle co ja, ale — ripostowałem natychmiast — miesięczny berbecz moich sąsiadów nie zjada ani grama. No, dobrze — polemizowałem dalej sam ze sobą — tylko skąd ty, powszechny zjadacz telewizyjnej papki, bez komputerów i doradców możesz być ekspertem w tej branży. I dawałem za wygraną.

Wyczytałem ostatnio, że konsumujemy rocznie połowę tuczniaka, czyli w granicach 60 kg. Nie jest więc źle — pomyślałem — i doczytałem, że w połowie lat 80-tych przydział na mój żółdek spadnie do 58 kg, by pod koniec tej dekady podnieść się do 63 kg. Zatem realny przydział z zastrzeżeniami. Tymczasem tam niesfora szara komórka za-

sygnalizowała, że na moim talonie zapotrzebowanie widnieje: 3 kg mięsa ze smalcem, a tylko dwa razy kupiłem kurę bez karku. Jako optymistę, nie tylko z konieczności, pocieszyłem się wnet, że i tak mam kilkukilogramową nadwagę. Ale co z tymi, którzy wagę utrzymują w normie?

Z rozrównieniem wspomina się przemówienia zwołanej postaci lat siedemdziesiątych. Człowiek może nie jadał tyle, co statystyk, ale przynajmniej miał fantazyjne doznania. Sama perspektywa syciła. Albo taki szef wiejskiej „Solidarności” — Zarejestrowanie nas — powiada — a chlebek z masłem i szynką jest biedzie. Słizne, nieprawda? A dziś twardo mówię, że w przyszłym roku pogłowie trzody chlewnej poleci na łeb na szyję o 3,5 mln sztuk i musisz się liczyć z ogładaniem statystycznego stołu sprzed lat dwunastu.

W połowie lat siedemdziesiątych szef — redaktor młodzieżowego tygodnika polecił mi znaleźć i opisać tzw. przykładowy tuczek trzody chlewnej, czyli nowoczesną formę

podnoszenia krzywej spożycia. Poszukiwałem, znalazłem, zobaczyłem. Tekst się nie ukazał, gdyż na resztkach zakładowej stołówki tuczono zaledwie co 3 świnki. Metodę tę skrytykowałem, a przecież nie miałem racji. Po sześciu latach oficjalna informacja głosi, że spożywalimy wówczas z dewizowym „wsadem” dwie trzecie produktów zwierzęcych. Trafiliem więc na sytuację

widzając jeszcze w ubr., kiedy to próbowałem ratować nasze talerze interwencyjnymi zakupami, zużył pasz skoczno z 3 kg do prawie 3,5 kg paszy treściwej na kilogram wierzchni. Wreszcie nadeszło to co nieuniknione — wzrost cen. Cena urzędowa nie może dogonić rynkowej, a rolnik liczy i twierdzi, że nie opłaca mu się hodować świń. Liczy najkorzystniej

Bodziec dobry, ale w sytuacji równowagi na rynku paszowym, a osiągnąć ją można w optymalnych warunkach dopiero za laty kilka. Trzecim wyjściem mogłoby być zwiększenie towarów na większym rynku. Rolnicy przysiadają. Dla przemysłu grozi to małą rewolucją, więc bronie się będzie wszelkimi sposobami. Kółko się zamyka. Można wierzyć, że rządowy program

dań, komputerów, etc. — chociaż w oparciu o pewne dane dotyczące głównie woj. łomżyńskiego. Kto ma czas i chęć może się też pobawić. W Łomżyńskim mieszkają na wsi około 221 tys. ludzi, przysiadają tu ok. 50,5 tys. gospodarstw indywidualnych. W br. zebrano 23,7 q z każdego z ponad 195 tys. ha zasiewów roślin zbożowych — razem ok. 450 tys. ton ziarna. Do

niem gminnym. W gminie Zbójna (ok. 4,7 tys. ludności i tyśię gospodarstw) odstawiono do punktów skupu 27 ton ziarna; zjedzono natomiast 236 ton artykułów zbożowych. Odpowiednio w gminie Turośl nadwyżka spożywcza nad sprzedaż wynosi 314 ton, Ciechanów — 276 ton, Czerw — 579 ton. A przecież handel wiejski nadal funkcjonuje. Oczywiście w niektórych rejonach sprzedaż się więcej. Nadwyżka, tym razem sprzedawana nad konsumpcją w gm. Grajewo wynosi 25 ton, Kolno — 145 ton, Kulesze Kościelne — 65 ton. Relacje te przedstawiają się drastycznie, gdy uwzględnimy, że rolnicy kupują także pasze zbożopochodne. Obliczenia wykazują, że łomżyński rolnik rekompensuje w tym przypadku zaledwie 40 proc. tego co od państwa otrzymuje. Można „statystyce” tej zarzucić sporo niedokładności, ale ogólny obraz pozostanie bez zmian.

Podczas ostatniej sesji WRN w Łomży padło stwierdzenie, że narzucono przez ministra Rolnictwa plan skupu zboża w wysokości 83,5 tys. ton. Jest to wysoki. Nie jestem specjalistą, pozwolę sobie jednak z tą opinią nie zgodzić się. Przecież to mniej niż 5 q z ha zasiewów, prawie 19 q ziarna z każdego ha zostaloby i tak u rolnika.

W prywatnej rozmowie prawie każdy gospodarz przyznał, że mógłby sprzedać więcej niż 5 kwintali, tylko woli po-

czekać. Aż się prosi o jakiś bodziec. Chocoby w postaci gminnych i wicel. Policzymy inaczej: ilu mieszkańców kraju mogłoby żywić łomżyński rolnictwo? Jeżeli przyjmijmy moje wyliczenia, że każdy „kartkowy Polak” kupujący także „na boku” konsumuje dziś rocznie ok. 400 kg ziarna w różnej postaci, to z tegorocznych tu-tejszych zbiorów powinni wytworzyć wszyscy mieszkańcy województwa i 800 tys. warszawiaków. Skoro się jednak twierdzi, że samowystarczalność zbożową osiągniemy przy produkcji 30 mln ton, to Polak zjada jednak 800 kg ziarna. Zatem Łomżyński wyżywi może siebie i tylko 238 tys. warszawiaków.

Statystyka, niestety, nie rozbrajała mnie. Przy tradycjach świątecznego stołu codziennosci jest zbyt brutalna. W dobry humor wprowiła mnie dopiero zakup, po przystępnej cenie, ćwiartki świnia. Przy okazji obejrzałem magazynowane w postaci zbóż ziółówek i befsztyki. Rolnicy strych lepszy od banku — uśmiechnął się gospodarz na zagrodzie. W ogólnopolskim tygodniku wyczytałem, że każda z 11 mln polskich rodzin wyrzuca dziennie do śmietnika 40 gramów pieczywa. Złapałem za długopis, ale zrezygnowałem. Jeżeli chcecie, policzcie, ja naprawdę nie lubię statystyki.

JERZY BRODZIUK

Kaktus i maczeta, czyli zanim nakryjesz do stołu

typową. Kolejny temat o tuczarni w SKR oddał już bez zarzutu. To, że na wyprodukowanie kilograma mięsa potrzeba 6 czy 7 kg paszy z „wsadem” nikogo przecież nie interesowało. Dolar szedł jeszcze po osiemdziesiąt.

Teraz relacje się zmieniały. Z zagranicy sprowadziliśmy cztery a nie, jak bywało, dziesięć milionów ton zboża i pasz. Tymczasem przyzwyczajony do przemysłowego pasz producent żywności wyrażała zdanie: „dajcie paszę — będzie mięso”. I co tu się dzi-

ła siebie — po najwyższych cenach wolnorynkowych zboża, ziemniaków (najlepiej jadalnych) i co się jeszcze da. Trzeba go więc do produkcji zmusić — powie ten i ów. Jak? Co prawda z każdej sytuacji są przynajmniej dwa wyjścia. Pytanie jednak, które wybrać, aby nie znaleźć się w sytuacji marynarza w japońskim domu publicznym, który otworzył niewłaściwie drzwi i znalazł się z powrotem na ulicy. Wprowadzić obojętnością dostawy? Efekt już znamy. Podnieść podatek?

konsekwentnie realizowany da rezultaty. Ale wiara słabsza dziś od złotówki. Mocniejszym atutem jest trzymane przez rolników zboże i niewiara zrodzona z doświadczeń w zapewnieniu rządu, że nie podniesie cen skupu. Rolnicy sprzedają maciory, resort rolniczy przebiega kolejną kartą — kontraktującą zboże otrzymują w pierwszej kolejności przydziały deficytowych środków produkcji. Przetarg trwa. Tu czas na zabawę w statystykę. Zabawę — jako, że bez statystycznych sprawoz-

13 grudnia br. państwu sprzedano 15 tys. Z każdego hektara zasiewów rolnicy odstawili aż... 61 kg ziarna (PGR, RSP i SKR — 907 kg). Liczmy dalej. W okresie 10 miesięcy tego roku handel wiejski sprzedał ponad 18 tys. ton pieczywa i przetworów zbożowych. Na statystycznego mieszkańca wsi wypadło 81 kg. Gdy przyjmijmy, że większość rodzin liczy średnio 4 osoby, to rolnicy konsumują sami więcej niż sprzedają. Porównanie to nabiera szczególnego kontrastu w rozlicze-

nie karnawalowej imprezy wpadało od 600 do 1500 zł. Teraz się to zmienia, bo Mikolaj rośnie w cenę, a złotówka nie. Najważniejszą jest jednak satysfakcja z dziecięcej radości i tego nie jest w stanie zastąpić worek z forsa.

Pamiętam swoje mikolajowanie, a uprawiam je gdzieś od dziesięciu lat, w jakiejś małej, białostockiej osadzie. Gwar, zabawa, w szkolnej świetlicy i delegacja rolników z prośbą. Nie z jakimś o-

— Zwłaszcza, że mikolajowanie daje wam, lalkarzom, niecodzienny i pożądany kontakt z najmłodszą widownią.

— Święta prawda. Na co dzień pracujemy na ogół za parawanem. Słyszmy reakcje, ale nie widzimy jej. Za to doświadczenie aktorskie przysięga się i tu i tam. Modułacja głosu, podrabianie starszej sylwetki, bo prawdziwy Mikolaj jest już ponoć nie pierwszej młodości, nawet takie rymowanie wejście:

„Jestem ze śniegowych platków,
z państwa Mikolajów dziadków,
z wielkiej księgi z bajeczkami,
bo stęskniłem się za Wami”.

Na takie dictum jedna z dziewczyn z Bielska Podlaskiego, rzekła mi z efektywnym dygnięciem:

„Mikolaju, Mikolaju, gdzie ja Ciebie pochowaję...”

Dalej było trochę niecen-zuralnie i szymbartnie. Postaram się szybko zmienić temat.

Lubię maluchy, rozmowy z nimi od „dydaktycznych” począwszy ze starszymi, po niemal intymne z najmłodszymi, które szczerze, jak na spowiedzi reznają co stoi w kuchni na stole, co mama wczoraj robiła w łazience i w ogóle kiedy, jak i kto z kim... Potem wlałam mi na kolana, ciągną za brode, za włosy.

„Co grozi dekonspiracją, a butaprenu brakuje.

— Używam raczej kleju perukarskiego. Mastiks wystarcza na dziecięcą ciekawość. W każdym razie frajda jest nieprzeciętna, kibice reagują spontanicznie, chociaż bywają i ciężko wystraszone. Poza tym zdarzają się reklamacje. — Na ogół nie pasują prezenty. Wtedy, jeśli to możliwe, zamieniam je, a konkurs, jakas gra czy zabawa, załatwia problem definitywnie i nieszcześnie zażegnane.

Jeszcze opowiem fragment bajki, popodryguję w kręgu tanecznym, albo jak kiedyś w przedszkolu, spróbuję ożywić lalki improvisując na zastawianych niedługo dialogach. He wedy uciechy, kiedy zwykłe psy czy koty, które się już opatrzyły i spowieszczały, przemówią nagle i do rymu. I takie to moje mikolajowanie...

DO DYREKCJI ZARZĄDU BUDYNKÓW MIESZKALNYCH W BIAŁYM STOKU:

„W nawiązanie do kłopotliwych spraw związanych z zarządzaniem setek mieszkalnych domów, problemem ich eksploatacji nie wszystko może Pan Dyrektor i jego współpracownicy dopilnować. Jedną z takich spraw, być może niewielką, ale jednak ważną, jest jubileusz 25-lecia pracy jednej z szarych pracownic, dozorczyńi domów Nr 6 i 8 przy ul. Akademickiej.

Mieszkamy w tych domach od ich zasiedlenia, przeszło 25 lat. Od sierpnia 1957 roku objęta obowiązkiem dozorczyńi (gospodarnej) na nasze szczęście Janina Domańska. I dzięki jej 25-letniej starannej pracy, troski o te domy, czynnej współpracy z zespołem lokatorów i administracją, domy nasze były zawsze czysto utrzymane.

Codziennie od 25 lat od rana krząta się Domańska, czasem z mężem i dziećmi, zabiegając o czystość domów i podwórza. Codziennie widuje ją przy tej nielekkiej pracy — jesienią zwalają liści, zimą śniegu. Ma Pan Dyrektor możliwość sprawdzenia tej opinii i w imieniu ponad setki mieszkańców, proszę o obiektywną ocenę jej pracy i wystąpienie o odznaczenie jej jako wzorowego pracownika.

Niech i ten szary pracownik, matka czwórki dzieci, które wychowała na porządnych obywateli (2 synów odbyło wzorowo służbę w LWP) ma też satysfakcję, że dostrzeżono jej wysiłki i codzienny 25-letni trud”.

M. KRÓLIK

w imieniu lokatorów domów przy ul. Akademickiej 6 i 8.



Mam szczęście do ludzi

JANINA
CÓRKA JANA:

Maż mnie namówił na ten wyjazd do Białegostoku, ale tak naprawdę to chciałam z duszą na ramieniu, bo i bez zawodu, i z dwójką małych dzieci.

— Kiedy to było? Jakoś tak na wiosnę w pięćdziesiątym. Miał zgodzić się na palacze, bo to wtedy proste panie nie było jeszcze elektryczności, to i ja wzięłam to dorozwyczaj. Człowiek był młody to i każda praca była lekka. I jakoś szybko te lata minęły, dopiero jak popatrzę, ile przez ten czas nowych domów stanęło wokół, jak te dzieciaki z naszych bloków porosły, to widzę jaki to kawał życia...

— Czy dzieci mi pomagają? Tak, cała czwórka. Moje dzieci nie wstydzą się pracy. Dwaj synowie niedawno wyszli z wojska i mają już własne rodziny, ale jak trzeba to zawsze przyjdą i pomogą. A w zimę stulecia to tak wszyscy na zmianę, maż, dzieciaki i ja, ogarnialiśmy śnieg. To nawet nie było ogarnianie, ale przekopywanie przejścia do ulicy, bo zasypany był prawie na dwa metry. Po innych domach chodzili milicjanci i prosili lokatorów, żeby pomagali dozorcom. U nas lokatorzy sami przychodzili pomagać, nikogo nie trzeba było prosić.

— Ze ja sobie wychowałam lokatorów? Nie, to nie tak. Myślę, że to prostu miałam szczęście i trafiłam na dobrych ludzi. U nas każdy o wspólne dba jak o swoje. Jak patrzę na te dzieciaki w sąsiednich blokach, to się nawet nie dziwię innym dozorcom, że tam u nich nie ma zieleni. O kwiaty przed naszymi domami dbamy wszyscy wspólnie, ale nasze dzieciaki nie biegały po trawnikach bo rodzice, od razu karcą. A niech pan patrzy jak przy tamtym bloku dzieciaki nie wszystkie zdeptały. Czasami myślę sobie, że jak jednak przed blokiem wszystko zadbane, to i ludzie lepiej taki porządek szanują.

Jak te nasze dzieci były małe, to czasem i krzyknęłam jak które w rabatkę weszło. Ale teraz to już dorosli ludzie i swoje dzieci uczą, żeby nie śmieciły i nie deptyły.

— A po co Zieleni Miejska ma to robić jak robimy wszystko sami? Rosną u nas lepiej? A bo to już będzie parę lat jak dobrej ziemi przywiozłam od nas, z Olszki, do tych miast przed blokiem. To te kwiaty są delikatne, potrzebują ziemi próchniczej i na zimę też trzeba je lepiej niż inne opatrzyć.

— Dlaczego oddałam jeden blok? Bo wie pani, co ze zdrowiem u mnie nie najlepiej. Przez siedemnaście lat nigdy na zwolnieniu nie byłam. Aż poszłam na te komisje i dostałam od razu drugą grupę inwalidzką. Potem mi zmienili na trzecią, ale wzięłam już tylko pół etatu. Szóstki już teraz nie sprzątam, tylko czasami jak idę i widzę te brudne szyby to ręką świerbi — biorę ścięgę i myję.

— Za co te odznaczenia? Pierwszy to był Brązowy Krzyż Zasługi w siedemdziesiątym pierwszym, potem w siedemdziesiątym czwartym dostałam aż dwa, bo odznacze Przewodniczący Pracy Socjalistycznej i srebrną odznakę Zasłużony Białostoczyźnie. O te odznaczenia to lokatorzy gdzieś pisali, ale sama nie wiem czy na to zasłużyłam, bo dbać o te domy to mój obowiązek, a że chodzę na te czyny co je lokatorzy organizują — to też jakby moja praca. Wie pani, ja ciągle myślę że mam szczęście do ludzi.

MIESZKANCY O
JANINIE, CÓRCE
JANA

— Mielimy, proszę pani, szczęście, że pani Domańska trafiła do nas. Jak tylko przyjechała to zakasała rękawy i sama wzięła się do porządkowania tego bałaganu jaki był przed blokiem. Myśmy się przytężyli i to wygląda tak jak dziś. Wtedy tu stały tylko te dwa bloki, nie było tamtego bu-

dynku ani tych wieżowców. Potem stanęły garaże, ale nie przekazywały nikomu, bo Domańska dbała aby było koło nich schludnie.

— Pamiętam, jak stały takie wysokie pojemniki na śmiecie, i niektórzy lokatorzy w wyrzucaniu wiadra wyręczał się dziećmi. Taki maluch jak nie mógł dosięgnąć, to wysypywał wszystkie obok pojemnika. A Domańska cierpliwie sprzątała po dzieciakach i nigdy nie krzyknęła. W całym mieście nie ma budynku, gdzie lokator by się nie uskarżał na kłopoty z oświetleniem. A u nas, proszę pani, oświetlenie zawsze sprawne. Jak się na klatce przepali żarówka, to nie trzeba naszej dozorczyńi sprawować, bo ona sama codziennie sprawdza. Nieraz tak patrzę jak w tych sąsiednich blokach to jeszcze w południe się przed wejściem pali, a u nas Domańska gasi jak tylko dnieje. A do piwnicy można spokojnie schodzić chociażby w środku nocy, wszędzie jest światło, zamknięcie, człowiek się o nic nie pokłnie. Szczurów też nie ma. Podobno w innych budynkach, szczególnie tych starszych, to prawdziwa plaga. I u nas się kiedyś pokazały, ale Domańska zgłosiła, zanim zdążyły się rozpanoszyć, w ciągu trzech dni zrobiono de-ratyzację i nie ma po nich śladu.

— My, mieszkańcy doceniamy jej wieloletnią rzetelną pracę i pamiętamy, że w październiku to jakby srebrne gody ze schodową klatką. Chcemy jej jakoś podziękować, tak odświeżnie, bo wie pani — mielimy wyjątkowe szczęście, że trafił się akurat na Domańską...

HANNA PRZYGODA

Fot. JAN MALEC

ANDRZEJ POLAKOWSKI
— Wasza ekscelencja pozwoli, że...

SW. MIKOŁAJ. — Można skromnie: panie Mikolaju. Na co dzień jestem aktorem białostockiego Teatru Lalek, a w aurole świętości przyoblekam się okazjonalnie. Rozważmy na razie te mistyfikacje w kategoriach popytu oraz podażu pewnego rodzaju miłych, choinkowych usług.

— No więc czy zna pan, panie Mikolaju swój rodowód, co w rodzaju drzewa genealogicznego, które rośnie od lat, a owocuje właśnie w porze Świąt i Nowego Roku?

— Drzewa nie znam, nie wiem nawet kto je sadził, ale zdaje sobie sprawę z tego, że korzeniami wstaje ono w dawne kultury i obrządy religijne. Za to mam święte w pamięci problemy nomenklatury i próby laicyzacji świętości, która niejako uprawiam. I nie chodzi tu o regionalne nazewnictwo, bo bez poważniejszych zastrzeżeń mogę wcielić się choćby w wielkopolskiego Gwiazdora. Raczej o to, że przed laty Świętych Mikolajów hurtem odstawiano do pakamer, by wprowadzić urzędowego dublera — Dziadka Mroza.

Dziadek Mróz był nagminnie kwestionowany nie tylko przez dzieci, więc wprowadzano różne mutacje, gatunki i podgrupy w rodzaju dyżurnych krasnali, aniołów do dzielenia paczek. Nie zdołano do tej ceremonii użyć automatów, bo jakże żaden ów obrzędowy nowotwór nie był akceptowany. Ostatecznie Święty Mikolaj okazał się niezastąpiony i powrócił do łask. Uniformy z charakterystycznym, długim płaszczem, wysoką czapką w kształcie tiary lub dyndającym białym okurkono, nawet wielokrotnie powielono...

— I okazało się, że populacja Świętych Mikolajów jest nader rozwojowa. Właśnie Telewizyjny Kurier Warszawski z okazji jedynie tylko im-prezy pod hasłem „Sen nocy zimowej” zgromadził dwie drużyny Świętych Mikolajów, w sile 18 osób. Czy ten urodzaj nie niepokoi dzieci?

— Owszem, najmłodszy, ci, którzy jeszcze nie zaglądają mi pod płaszcz, żeby sprawdzić czy pod spodem nie siedzi przebrany cywil, zadają mi często podobne pytania. Odpowiadam wtedy, że Święty Mikolaj jest jeden, ale sam nie byłby w stanie obsłużyć

wszystkich dzieci, więc organizuje posilki.

Pytają też dlaczego zeszłoroczny Mikolaj, ten główny, był jakby nieco inny. Miał głos jak mamiusia i ruda broda. Chodzi im zapewne o wykluczenie falsyfikatów, a ja jestem programowo prawdomówny i nie mogę im opowiadać, że święty czasem przechodził mutację. Rozpraszam wątpliwości twierdząc, że każdy się

Święty na ryczałcie

(Ze Świętym Mikolajem rozmawia
ANDRZEJ POLAKOWSKI)

zmienia, inaczej ubiera, siwieje lub maluje włosy jak mamiusia, traci głos lub chrypie w kolejkach. Mikolaj mówi ziemskie przyzwyczajenia i ciagotki. Bywa uczulony na modę, dotknięty kryzysem, ale bo z wyjątkiem niedysponowania. Gdyby musiał występować w dziurawych butach, byłby może nawet łatwiej asymilowany w dziecięcych środowiskach.

— Armia Świętych Mikolajów stwarza panu konkurencję. Nie powiem, że to już efekt reformy gospodarczej, ale zwycięzcy — dopingujące do podnoszenia własnych kwalifikacji lub po szewsku — podnoszenia jakości usług, wymyślania programowych nowości, urozmaicania imprez, czy też niegastawo: spada utarg, wystają szarlatani, którzy swo-

wywiązać należyście, wspólnie bawić, uatrakcyjnić program, jak choćby niepowtarzalny Edward Laskowski, to nie jest to łatwy kawałek chleba.

— A w ogóle chleb z tego czy może już wędlna, bo zaangażowany Mikolaj ryczałcie?

— Nie zaczynamy od wizyty w kasie. Imprezy choinkowe w Domach Dziecka i wiele innych traktuję jako społeczną powinność. Zresztą w ogóle mówię o obowiązkach w tym przypadku jest o tyle nie w porządku, że dla obu stron — tej świętej i obdarowywanej, choć grzesznej, powinna to być przyjaźń i frajda. A kiedy takich nastrojów brakuje, kończy się zabawa, a zaczyna chałtura.

— Stawki? Oczywiście są różnicowane. Za prowadze-

niem wstępem w styl: znajdzie towarzyszy Mikolaj trochę czasu, żeby odwiedzić i obdarować chore pociechy. Nie, zwycięzynie, po chłopsku, z miotleniem czapek w garści. Byłem w kropce, bo w Białymstoku czekały już inne dzieciaki, ale telefonicznie przesunąłem termin i poszedłem. Ze dwa kilometry bezdroży, bez szans dojazdu, ale za to z obstawą niebywałą. Ja w czerwieni i bieli z worem przebranych, a za mną cała wieś. Jakby księżda prowadził, albo procesję zorganizował. Dalej podwójne pełne gapiów, twarze przyklejone do szyby i ja wśród zamaskanych, kaszających, porożkanych po łózkach i jakichś takich nieszczęśliwych, ale już uśmiechniętych brzdąków. Wiś w komplecie jak mnie przyprowadzają tak i odstawia na przystanek. Takich epizodów się nie zapomnia.

A kiedy będziesz moją żoną, umiłowaną, posłubioną, wówczas się ogród nam otworzy ogród światłości, pełen zorzy.

Pójdziemy ciś, zamyśleni, wśród złotych przmygleni i promieni, pójdziemy u ogród pełen zorzy kiedy drzwi miłość nam otworzy.

KAZIMIERZ
PRZERWA-TETMAJER

Zaczyna się to zwykle tak: „Dzień dobry! Chciałabym zostać Klientką Biura Matrimonialnego „Afrodyta”.

Albo: „Szczególnie Afrodyto! Pomóż znaleźć mi partnerkę na dalsze życie”.

Niektórzy wyjaśniają w ten sposób: „Naprawdę to nie wiem, jak mam zacząć, po prostu po trzydziestu latach samotności nabrałam odwagi napisać do biura matrimonialnego”.

Albo tak: „Przeżyłem 34 lata i dalej jestem kawalerem, nie mogę znaleźć odpowiedniej partnerki w swoim środowisku”.

I jeszcze inaczej: „Mam 26 lat, chciałabym zawrzeć związek małżeński, lecz z powodu ogromnej nieśmiałości nie mogę nawiązać żadnej poważnej znajomości”.

Są listy — oferty handlowe: pan wartości tyłu a tyłu tyśięci pozna panią z takim to a takim mają-

kiem; mam dom — szukam pana z samochodem; prywatna iniektywa pozna fachowca...

I są listy nieśmiałe, romantyczne, mówiące o miłości, wierności, szukające kogoś bliskiego na dobre i na złe, człowieka o wspólnych zainteresowaniach.

Potem każdy wypełnia ankietę, która służy do wszystkiego połączyć: wiek i kolor oczu, mieszkankę i zarobki, zainteresowania z wymaganiami. Kandydat na małżonka(e) włączony zostaje w numer, skróty, biuletyn z ofertami. Może zacząć wybierać.

TO JEST TO!

Matrimonialnej działalności patronuje „Kurier Polski”. To tutaj reklamuje się poszczególne biura, oferując usługi, zapewniają o dyskrecji.

Najwięcej ofert posiada Biuro Matrimonialne „Syrinka”, „Tyko Ty” — to jest to! Oferty matrimonialne dyskretnie wysłała „Nep-tun”, „Halszka” pomaga samotnym. „Szczęśliwie kojarzy małżeństwa Biuro Matrimonialne „Mazury”, „Biuro zapoznajęce prowadzi psychologa „Junona”, „W Biurze Matrimonialnym „Wiosenka” największy wybór życiowego piękna”.

Namnożył się tych biur w Polsce, mają je wszystkie co bardziej

liczące się miasta. Warszawa — „Syrinka”, Gdańsk — „Neptuna”, Częstochowa — „Idylle”, Poznań — „Małżeństwo”, Zielona Góra — „Lene”, Wrocław — „Romualda”, Łódź — „Piasta”, Szczecin — „Weste”, Siedlce — „Amorka”, Lublin — „Olimpie”.

Białystok ma aż dwa biura — „Afrodyta” i „Arkę Noego”.

Pod znakiem

MIŁOŚĆ I MAŁŻEŃSTWO

Afrodyta to grecka bogini miłości i piękności. Cezono ją także jako opiekunkę małżeństw. Hezjod, najstarszy po Homerze poeta grecki, podaje, iż ta córka Zeusa i Dionea urodziła się z piany morskiej u wybrzeży Cypru. Jej i meża Hefajstosa (według innej wersji — kochanka Aresa) synem był Eros, bóg miłości. W Rzymie Afrodyte identyfikowano z boginią Wenus, w Egipcie — z Izydą, w Syrii — z Astarte.

— Początki były trudne. Ledwo uzyskałmmy zezwolenie (miałem wtedy współniczkę, panią pedagog), urzędnicy kreśliłi głowami, to się w Białymstoku nie przyjęło. Lokalu nie mam do dziś, stąd biuro działa przede wszystkim na zasadzie korespondencyjnej. Papierkowa robota załatwiam w domu, tu też przyjmuję klientów, jeśli przyjdą, bo mój adres nie jest tajemnicą.

— Zaczęłam, oczywiście, od ogłoszenia w „Kurierze Polskim”. Pierwszymi klientkami były panie po studiach, z Częstochowy. To charakterystyczne, ludzie z wyższym wy-

Było ludowo i ludycznie z królem Herodem, śmiercią i diabłem.



TEATR LALEK

Turoniowe klapanie paszczą

Udana krzyżówka kozy z diabłem, symbol ludowej jurności, czyli bożonarodzeniowy Turon jest bohaterem numer jeden najnowszej premiery w Białostockim Teatrze Lalek. I trzeba przyznać, że jest to postać urodzona na scenę lalkową — kukłowy z anatomii i wdzięku, plastyczny i ruchliwy, rubaszny i cały, od ogona pod czubki kółek rogów spod kołnierzowej gwiazdy, czuje się w teatrze jak u siebie. Maszkaron półserio, bardziej ludzki niż demoniczny, zwiastun końca adwentu i początku karnawału jest wprawdzie bohaterem sezonu zimowego, ale siła przebiecia dorównuje postaciom uniwersalnym: czarownikom, wilkom i królowom, choć nie bucha ogniem piekielnym, ani cnotą anielską. Turon chodzi po ziemi.

W białostockim przedstawieniu, zanim jeszcze zacznie się to chodzenie i klapanie turoniowe, już wiadomo — będzie szopka i to bez udziału ludowa i ludyczna, z królem Herodem, gwiazdą i Jezusem. Na scenie jest słomiano-gliniano z baraniną kołuchem, skrzynia malowana i zapiekiem — to plan aktorski. Nad nim scena dla lalek, tym razem ujęta w „architektoniczne” ramy krakowskiej szopki. Jasne, że przy plecach będą się działy sprawy ziemskie, w górze — niebiańskie. Na dole Waluś i jego kompania, na górze Matka Boska i chóry anielskie. Komunikacja między planami zapewniają Turon, czarownica i diabełek, niejako przez nich zrealizują się wyroki boskie i ziemskie nadzieje, oczywiście nie bez perypetii, ale tym bardziej spektakularnie. Otóż to zapłata nie spraw ziemskich i niebiańskich, bez czego nie byłoby porządnej szopki, jest za sprawą scenografii jeszcze mocniejsze, bo oto skrzynia malowana funkcjonuje jako plan pośredni — tam właśnie odbywa się znaczna część intrygi dworskiej z udziałem Heroda i jego zmiłowyżowanej służby. Również gliniany piec z niby pocztówką grzejącym paleniskiem okazuje się być w końcu ulubionym miejscem diabła, a więc jest i piekło. Niebo, ziemia, piekło — stręła boga, ludu, tyrana i diabła, czegoż więcej trzeba, żeby zagrać dramat iście szekspirowski, nie mówiąc o jasełkach?

Wystawic Ryszardowi Kuzyszynowi cenzurę — funkcjonalny, byłoby nie-

taktem; ta scenografia rzeczwiście w spektaklu zagrała. Nie wiem czy bez niej przejście z planu aktorskiego do lalkowego byłoby tak naturalne i płynne. W ogóle dobrze pojęta płynność jest istotną cechą tego spektaklu, i daje się również odczuć przy okazji zmian nastroju od rzuwnej lirycznej do scen aluzyjnych wprawdzie, ale z elementami aktualnej publicystyki co też się znakomicie mieści w gatunku szopki. Na plus Joanny Piekarskiej, która sztukę Zbigniewa Poprawskiego „Chodzi Turon paszczą klapiem” wyreżyserowała, trzeba również zapisać, umiejętnie dramatyzowanie akcji i troskę o szczegóły, co w sumie daje spektakl żywy, prowadzony z rozmachem, ale starannie dopracowany — wręcz o wywyższonym detalu. Na dowód można przytoczyć co najmniej kilka scen, które budzą żywą reakcję zarówno dzieci jak też widza dorosłego. I tak dzieje się, gdy król Herod osiąga szczyt jedynowładztwa, a lud, to znaczy Waluś chrapie na ławie pod piecem, gdy Słomiano Dziekło głosi apoteozę kielbasy, ale również w świadomie przesłodzonej scenie z aniołkami, które nieczym śpiewające landriny bawią wszystkich choć pewnie niezapewne z tych samych powodów.

Spektakl, jak przystało na przedstawienie z gwiazdą, jest rozpięany i roztańczony, nieczym Kazimierz Dolny nad Wisłą w lecie, a niemająca w tym zastręga Wiesława Dąbrowskiego, którego choreogra-

fia podnosi temperaturę widowiska, czyni je jeszcze bardziej dynamicznym. Cały zespół aktorski od turoniowego klapania paszczą spisuje się nieźle, ale dwie postacie zasługują na specjalne wyróżnienie. Przede wszystkim Andrzej Bęba w podwójnej roli Walusia i Słomianego Dziekła — aktor o sporych możliwościach włącznie z umiejętnością gwizdania na palcach oraz Marek Kotowski, który w roli tytułowego Turonia klapię z sensem i na temat. Na planie lalkowym najbardziej może się podobać Śmierć Jolanty Rogowskiej, a to głównie z powodu przebiegawnej animacji, a także ruchliwy diabełek Krystyny Matuszewskiej, przy czym związki tej pary sięgają poza scenę, bowiem śmiertelno-diabełskim tandem grany jest przez córkę i matkę.

ANDRZEJ KOZIARA
Białostocki Teatr Lalek.
Zbigniew Poprawski „Chodzi Turon paszczą klapiem”.
Opracowanie tekstu i reżyseria — Joanna Piekarska.
Scenografia — Ryszard Kuzyszyn.
Muzyka — Antoni Mleczko.
Choreografia — Wiesław Dąbrowski.
Premiera — 12.XII.1982 r.



Joanna Piekarska zgotowała białostockiej publiczności widowisko rozpięane i roztańczone nieczym Kazimierz Dolny nad Wisłą.
Fot. R.SIENKO — CAF

FILM

„Ta książka nie jest nikomu konkretnie poświęcona — pisze Marlena Dietrich w swych głośnych w świecie wspomnieniach — Poświęcam ją publiczności, która darzyła mnie radością wzajemnych spotkań a także tym wszystkim, dzięki którym mogłam pracować i zarabiać na życie, ciesząc się jego ulotnymi radościami”.

Takie jest przesłanie interesujących wspomnień wielkiej artystki, wspomnień, w których niby w magicznym kaleidoskopie przesuwają się postaci jej znajomych, kolegów i przyjaciół — przede wszystkim ze świata filmu, z którym tak ściśle była związana. Dodatkowym, szczególnie dla czytelnika atrakcyjnym elementem tych charakterystyk jest fakt, że wszystkie opisywane przez nią osoby znane są doskonale byłym kin, oczywiście raczej w wieku popoborowym...

I jeszcze ciekawostka. Wbrew naturze kobiecej, Marlena prawie zupełnie nie poświęca uwagi przedstawicielkom swej płci, za przedmiot obserwacji biorąc głównie mężczyzn, których niekiedy podziwiała, a nawet admiring, a niekiedy poddaje ostrej krytyce. I chyba nie bez podstaw...

ACH, CI SMIESZNI KOWBOJE...

„Z przykrością muszę stwierdzić — wspomina „Biełkiny Anioł” — że niektórych moich partnerów filmowych matka-natura nie obdarzyła ani wielkim talentem ani też rozumem.

Należał do nich John Wayne, przez długi czas nie znany nikomu i biedny jak mysz kościelna, aktorzyzna. Skarżąc się, że ma na utrzymaniu żonę i dwóch synów, zwrócił się do mnie z prośbą o protekcję. Zadzwońmy do mego agenta, czy by się nim nie zaoferował. Najprędzej odpowiedział, że nowicjusze go nie interesują, ale w końcu uławił Johnowi podpisanie kontraktu z wytwórnią „Universal”. Dzięki temu właśnie „pozyskałam” nowego partnera.

Wayne nie miał pojęcia o prawdziwym rzemiośle aktorskim. Po prostu wyglądał swój wykuty na pa-

mię tekst. Kiedyś, w przystępie szczerości, wyznał mi, że nie przeczytał w życiu żadnej książki. Ale wkrótce zaczął wspaniale zarabiać, z czego prosty wniosek, że nie trzeba wielkiego rozumu, żeby stać się renowanym „gwiazdą”. Z czasem dzielny kowboj John Wayne nabrał niezwykle pewności siebie, ale talentu i tak nie przybyło”.

Tak pisze Marlena Dietrich.

Wielka gwiazda o słynnych gwiazdorach

JEAN GABIN — TEN MOJ JEDYNY!

Można by tu jeszcze dodać, że pewnością siebie odznaczał się także pewien kolega Johna Wayne, również specjalista od „Dzikiego Zachodu”, mierny aktor, o wybuchających ambicjach politycznych, które zaprowadziły go o wiele wyżej od jego możliwości...

Po tej małej dygresji, powracamy do wspomnień artystki

WSPANIAŁY SPENCER TRACY!

„John Wayne był rozpaczliwie tępy, nie znaczy to jednak, że Hollywood nie rozpoznało inteligentnymi aktorami. Stwierdzam po prostu, że prawdziwie wielcy artyści raczej rzadko byli moimi partnerami. A-

le niekiedy miałam te

szczęście. Wspaniałą osobowością artystyczną był Spencer Tracy. Występowałam z nim w filmie „Wyrzek w Norimberdze”, który reżyserował Stanley Kramer. Spencer potrafił jednym spojrzeniem pochwalić albo unicestwić. Poza tym miał piękne wprost poczucie humoru. Był egoistą, to pewnie, ale być egoistą to wcale nie znaczy mieć łatwe życie. Był także urodzonym samotnikiem, chociaż okoliczności, bynajmniej na to nie wskazywały. Sądzę, że właśnie to wewnętrzne osamotnienie stanowiło istotny czynnik wszystkich jego sukcesów artystycznych.

Pozornie nieatrakcyjny, Spencer Tracy był niewątpliwie jedną z najwspanialszych indywidualności i atrakcji (w najlepszym tego słowa znaczeniu) wielkiej plejady gwiazd Hollywoodu”.

nie nie naprawiłby zupełnie go kontakt), bał się również ognia, a mimo to, jakby dla pokonania swych lęków, walczył na froncie jako czołgista! Gabina poznałam, gdy wprost z okupowanej Francji zjawił się w Hollywood. Jak zwykle w takich przypadkach, na pomoc wezwano mnie. Pomoc ta okazała: rozmawiać z nim w jego ojczystym języku, trochę się o francuską kuchnię, wprowadzać w nowe otoczenie itp. Tak samo zresztą opiekowałam się innymi wygnańcami — byli wśród nich René Clair i Jean Renoir.

Kiedy Gabin jako tako opowiadał angielsko, wystąpił w filmie, tytułu już nie pamiętam, wiem tylko, że angielski Gabina był nienaganny. Wszyscy, którzy przez wiele lat podziwiali Gabina na ekranach nie wiedzieli, jakim niezwykle czołwiekiem był w życiu prywatnym. Szczery i prostolinijny, przyjazny wobec ludzi. Jego po prostu nie można było nie lubić. Ponieważ wszystko ma swój koniec, pewnego dnia utraciłam go, ale nigdy nie przestałam go kochać”.

DŁACZEGO NIGDY NIE DOSTAŁAM „OSCARA”?
„Moimi serdecznymi przyjaciółmi byli słynni reżyserzy Billy Wilder i również słynny aktor Charles Laughton. Pracowałam z nimi nad filmem „Świadek oskarżenia”. Z prawdziwą radością przyjąłam propozycję wystąpienia w tym filmie: miałam tu do wykonania bardzo interesujące ale i niełatwe za-

danie — zagrać dwie bardzo różne się od siebie postaci: kobiecą: żonę bohatera filmu, oskarżonego o zabójstwo, która w niczym nie może pomóc mężowi i w dodatku jest cudzoziemką oraz męską: nieznana, niesympatyczną kobietą, która jest koronnym świadkiem oskarżenia.

Laughton był zupełnie fantastyczny jako obrońca — stworzył kreację, której się nie zapomina. Co do mnie, Billy Wilder po premierze filmu, powiedział mi wprost „Za rolę tę widzę ci na pewno nie otrzymasz „Oscara”.

Rzeczywiście. Ani za te, ani za żadną inną rolę nigdy „Oscara” nie otrzymałam. Jak to słusznie zauważył Laughton, gdybym zagrała kalekę, pijaczkę, głuchoniemą lub niewidomą, a najlepiej psychopatką, to kto wie...

Zasada bowiem jest taka: im tragiczniejsza, wyśmieszająca czy jurorom rola, tym pewniejszy jest „Oscar”. Mocodawcy tej nagrody zawsze wychodzili bowiem z założenia, że odzwierciedlanie takich właśnie żalonych postaci jest szczególnie trudne. „Oscar” to dla mnie zwyciężająca „lipa”, ponieważ nie wyraża opinii szerokiej publiczności, lecz jedynie wąskiego grona facetów z Motion Picture Arts and Science”.

POŻEGNANIE Z CHARLIE CHAPLINEM

„Jestem dumna z mojej przyjaźni z Charliem. Nie ulega żadnej wątpliwości, że Chaplin był gigantem naszego aktorskiego zawodu. Największym z wielkich. Ostatni raz spotkałam się na galowym przedstawieniu w paryskiej „Comedie Francaise”. Łączyła nas skłonność do sentymentalizmu. Muzyka, która tworzyła Charlie, też była sentymentalna. Bardzo, może nawet nadmiernie, lubiłam tę jego muzykę.

Chaplin był gwiazdą pierwszej wielkości, czaro- dziejską i jednocześnie bardzo ludzką, gwiazdą, tak znacznie przewyższającą inne, w tym także i mnie. Dlatego już nie wiem, co mogłabym jeszcze powiedzieć o tym genialnym artyście. Zegnaj niesmiertelny, sentymentalny Charlie!”

Opracował
GRACJAN KOZŁOWSKI

KSIAŻKA

Nakładem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku ukazał się zbiorek rozpraw naukowych „Most przez wieki” pod redakcją Michała Szachowicza. Praca stanowi dorobek dwóch sesji literacko-naukowych w Białymstoku z 1977 i 1980 roku poświęconych związkowi polsko-białoruskim i białorusko-polskim w kulturze.

Zbiór rozpraw naukowych otwiera artykuł Włodzimierza Stochela „Polsko-białoruskie związki literackie w badaniach literaturoznawców polskich (1970-1980)”. Autor omawia dorobek ostatniego dziesięciolecia w badaniach naukowych publikowanych przez literaturoznawców polskich. W przeglądzie prac poświęconych problematyce polsko-białoruskich kontaktów literackich W. Stochel poleca rozprawy takich autorów jak Aleksander Barszczyński, Bazyli Białokozów, Włodzimierz Wilczyński, Włodzimierz Monach, Telesfor Poźniak, Franciszek Sielicki, Zofia Skibińska-Charyło, Sokrat Janowicz, i Włodzimierz Stochel. Słuszna jest konkluzja autora artykułu, kończąca krótko, ale bardzo treściwą rozprawę, mówiąca iż badania historyczno-porównawcze w polskiej literaturze naukowej systematycznie pogłębiają się.

literatura białoruska o drugiej wojnie światowej i jej recepcja w Polsce”.

Drugi artykuł Włodzimierza Stochela, „Tematyka polska w twórczości Maksyma Tanka” omawia odbicie problematyki polskiej w twórczości tego wybitnego pisarza białoruskiego.

Interpretacją polskiego dziennika Maksyma Tanka zajęła się Walentyna Truchanowicz w krótkim przy-

Most przez wieki

Doskonałym uzupełnieniem prac językoznawczych M. Kondratyuka, J. Wiśniewskiego, D. Jaskanis dla Białostockiego jest artykuł Witalisa Luby „Terminologia budownictwa wiejskiego w gwarach wsi Czarna Wielka i Miedwieżyki”. Wprawdzie wnioski przedstawione na podstawie materiałów zebranych w dwóch miejscowościach są nabytą uogólnioną, ale analiza językowa stosowana w budownictwie terminologii jest bardzo interesująca.

Zbiorek kończą dwie prace: Teresy Chyłak „Oddziaływanie słownictwa polskiego na białoruski system gwarowy wsi Bobrowniki” i Niny Omelianuk „Kilka uwag na temat zmian znaczeniowych leksemów warunkowanych interakcją językową”.

Zestaw referatów zakończony jest refleksyjnymi myślami Tadeusza Konwieckiego „Moje oczy napelnione Białorusią”.

Na zakończenie kilka słów mojej osobistej refleksji o niniejszym zbiorze naukowym. Stawiam na czwartą pozycję przygotowaną przez literatów, językoznawców, dziennikarzy i historyków. W historycznym rozwoju kulturowych kontaktów możemy dostrzec obszary podporządkowane procesowi transmisji kultur narodowych, tradycji i reguł wzajemnego oddziaływania. Przyglądając się bliżej polsko-białoruskim stosunkom kulturalnym widzimy jakby jeden obszar wspólny dla obu nacji na Białostocczyźnie. Obszar ten w pełni jednolity kulturowo, ale powiązany szeregiem systemów i relacji. Przedstawione w zbiorze penetracje historyczno-literackie zjawisko to potwierdzają.

ANTONI MIRONOWICZ

„Most” przez wieki”, zbiór prac naukowych pod redakcją Michała Szachowicza, nakładem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku, 1982 r.

Afrodyty

SAMOTNOŚĆ WSROD LUDZI

Partnera czy partnerki szukają ludzie w różnym wieku, ze wsi, małych miasteczek i dużych miast. Samotność jest plagą cywilizacji. Inaczej to jednak wygląda u siedemnasto- i osiemnastolatków, inaczej u ludzi dojrzałych czy starszych. Młodzi, gdy rozejdą się lub póki co z sympatią — już pisać. Potem się pogodzą, albo poznają

kogoś nowego — i zapominają o biurze. O wiele poważniej podchodzi do tych spraw osoby w średnim wieku, także starsi, ale tych jest niewielu.

Przeprowadziłem ankietę wśród osób, które napisały raz do biura, otrzymały oferty oraz warunki, na jakich mogą zostać klientami — i na tym się skończyło. Właśnie mło-

ta, że tego innego sposobu nie ma, zanika coraz bardziej życie towarzyskie, ludzie trzymają się swego domu, rodziny, środowiska, a tam nie znajdują odpowiednich partnerów.

— Ile par skojarzyła „Afrodyta”? To trudne pytanie, wiem tylko o niektórych, bo przecież nie ma obowiązku informowania o takim szczególnym wydarzeniu. Ba, często, gdy ktoś pozna odpowiednią osobę, zapomina nawet z biura wycofać swoją kandydaturę. Z tych par, które znam? Jedna zapoznała się na pierwszym wieczorku w „Turoblance”. To był marynarz, który właśnie wrócił z rejsu i pewna białostoczanka. Zakochali się, jak to się mówi — od pierwszego wejrzenia, ślub był wkrótce, dziś są szczęśliwym małżeństwem.

ONA Z WYKSZTAŁCENIEM

— Komu najtrudniej znaleźć partnera? Paniom w wieku 27-28 lat, z wyższym wykształceniem. To jest zjawisko ogólnokrajowe, mężczyźni w tym wieku są już żonaci, a sporo z nich wolało „posłubić” trochę mniej wykształconą dziewczynę.

— Zona dla rolnika? To też problem. Ale jest coraz więcej kandydatek, także ze studiami, nawet z Warszawy, które chcą przenieść się na wieś. Marzy mi się założenie filii

biura, choćby w Łapach i Gródku, właśnie z myślą o kojarzeniu rolniczych małżeństw.

— Czy zresztą zawsze musi się skończyć ślubem? Dla człowieka samotnego ważne jest chociażby poznanie nowych ludzi bądź nawiązanie przyjaźni. Kontakt z biurem pozwala wręcz na przezwyciężenie kompleksów, podbudowanie psychiki, człowiek staje się bardziej — jak to ktoś określił — otwarty na ludzi i bywa, że w swoim środowisku odkrywa partnera.

— Niektóre panie pytają o oferty zagraniczne. Właśnie je otrzymałem, za pośrednictwem jednego z biur zachodniopomorskich, Kilkuś panów z RFN, także z Austrii, Francji, Holandii, USA i Kanady, w różnym wieku, od robotnika do właściciela przedsiębiorstwa, pragnie nawiązać kontakt z Polkami, konkretniej — znaleźć w Polsce żonę, bo... Polki nie są tak wyceniane i rozygrzmaszone jak kobiety z tamtych krajów? Ciekawa ocena, czy tylko aby dobrze wroży zagranicznym mariażom naszych pan?

— Czy biuro matrymonialne to „biznes”? Raczej hobby, nie przynosi krociowych zarobków. Z powodu deficytu odeszła moja współpracownica. Ale mnie prowadzenie biura sprawia satysfakcję, wiem, że pomagam ludziom samotnym.

ANIELA ŁABANOW

Co wiedzą przedszkolaki?

Dzieci znają jedno święto, to 1 choinkę i obowiązkiem z paczką przyniesioną przez Mikolaja. Wprawdzie chłopcy przypominają, że jest jeszcze święto Indianina, Zolnierza, Ryercza, i Kowboja, a dziewczynki uzupełniają kalendarz świąt dniami Mamy, Taty, Dziadziusia, Naleśnika i Brzucha, ale wszystkie są zgodne, że Święta z Mikolajem są najważniejsze. Właśnie rozważań dzieci (średniaków) na „najważniejszy” temat wysłuchaliśmy na kilka dni przed Świątami Bożego Narodzenia w Przedszkolu nr 18 w Białymstoku.

„GAZETA WSPÓŁCZESNA”: — Czy widzieliście już Mikolaja?

DZIECI: — Tak, w sklepie. Stał w kolejkę i dzieciom paczki kupował.

— Za swoje pieniądze kupował?

JUSTYNA: — Nie, Mikolajowi trzeba wysłać pieniądze w kopercie. Moja mama dawno już wysłała. A ja mam taką dużą skarbankę z pieniżkami.

— Jak poznać, że to jest Mikolaj?

MICHAŁ: — Mikolaj ma wąsy...

ADAS: — Ty durny.

INNE DZIECI: — Mikolaj ma brodę. Jest czerwony, z dużym, dużym workiem. Ale proszę pani, są i nieprawdziwe Mikolaje. Taki nieprawdziwy, to Pani Mikolaj.

— A co byście najbardziej chcieli dostać od Mikolaja?

MICHAŁ: — Ja chciałbym robotę, takiego dużego jak ja, nakreślonego.

— A co bardziej byś chciał? Robotę czy siostrzyczkę albo bratka?

MICHAŁ: — Maskę albo robotę.

— Po co ci robot?

MICHAŁ: — Żeby pilnował pieniędzy przed złodziejami.

INNE DZIECI: — Proszę pani, a wszystkie złodzieje pójść do więzienia. A tam dają tylko gorzką kawę i chleb. I jest zawsze ciemno. Są myszy i szczury.

— Jakże zabawki chcą dostać w paczce inne dzieci?

A zima, proszę pani, spadnie z Kosmosu

RAFAL: — Ja chcę dostać prawdziwego słonika.

— W paczce obowiązkowo wstążeczkę?

MAREK: (po chwili zastanowienia): — Nie, niech Mikolaj uwzględni go na podwórku na łańcuchu, przyjdzie do mnie, zadzwoni i powie, że już jest. A ja mu zbuduję chlew.

— I czym go będziesz karmił?

MAREK: — Dam mięska.

PIOTREK: — Proszę pani ja dostanę strzelbę od Mikolaja i będę strzelać byki. Pójdę na polowanie do lasu jednego takiego. Pójdzie pani ze mną? Byki są duże i mają dużo mięsa. Ja lubię mięsko.

ASIA: — Niech pani powie Mikolajowi, że ja chcę laleczki z wódeczką, taką nakreśloną. Ale nie chcę siostrzyczki, bo siostrzyczki placzą.

ADAS: — Ja chcę dostać plastikowy noż i pióropusz. Będę Indianinem, bo chcę zabijać. Będę zabijać lwy i o tak: ta-ta-ta-ta-ta.

— Przecież w Polsce nie ma lwów.

ADAS: — To wilki w lesie.

— Ależ wilk też chce żyć. To tylko żli ludzie zabijają.

ADAS: — Nie, to Niemcy zabijają. Ja dzisiaj będę do samego wieczora

Polakiem, bo Polaki zawsze wygrywają, a jak dostanę noż plastikowy, to będę Niemcem.

DAREK: — Niech pani jeszcze zapłacie, że ja wolę dostać w paczce konia białego prawdziwego. Jak mój tatuś był taki jak ja, to już jeździł na koniu. I ja będę jeździł na koniu do przedszkola, bo w autobusach jest ciasno. Zbuduję mu chlew przed blokiem i dam mu jeść cukier.

ADAS: — A ja się lepiej zamienię w czarodzieja. Będę czarny, duży na tą całą salę i będę sobie codziennie kładł paczki pod choinkę.

ASIA: — A ja będę Babą Jagą. Baba Jaga gotuje w pieknie z diabłem smole dla niegrzecznych dzieci. Niegrzeczne dzieci paczek nie dostają.

— A które to są niegrzeczne dzieci?

DZIECI: — To takie co kapci nie wkładają, wariują, dziewczynkom pod spódnice zaglądają.

— A czy wszystkim dorosłym Mikolaj przynosi paczki?

DZIECI: — Nie.

— Dlaczego?

ASIA: — Bo dorośli są niegrzeczni.

— Kiedy są niegrzeczni?

ASIA: — Kiedy brzydko się bawią. Oni się bawią w papierosy. I wariują.

— Jak wariują?

ASIA: — Mój koleżanka opowiadała, że jej tata często wariuje. I ona zawsze wie, kiedy tata zwariuje, bo wtedy późno wraca do domu, nie umie dobrze chodzić i krzyczy na mamusię. I ona mówiła, że bardzo boi się taty, kiedy on zwariuje.

— Stuchając, a może odłóżmy te Święta na później, kiedy przyjdzie zima i będzie dużo, dużo śniegu.

DZIECI: — Nie, nie, nie trzeba. Niech pani napisze do Mikolaja, żeby już dzisiaj po południu, jak my wrócimy z przedszkola, żeby przyniósł Święta. My chcemy, żeby były Święta z Mikolajem dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto razy...

MICHAŁ: — A zima, proszę pani, spadnie z Kosmosu.

Rozmawiała:

ANNA RADZIUKIEWICZ

W domu Kobylińskich

Na „Abrahama”, który przypadł Szymonowi Kobylińskiemu pięć lat temu, jubilat zadał sobie trud odręcznego i wspartego ilustracją — spisanie biografii twórczej. Debiut zawodowy w prasie nastąpił w 19 roku życia. Od tego czasu — około 150 wystaw indywidualnych w kraju i za granicą, około 20 zbiorowych, obecność na łamach 50 tytułów czasopism krajowych i około 20 zagranicznych, kilkanaście własnych książek, odznaczenia, nagrody polskie i międzynarodowe. Wszystko za humor, za wiedzę, za sztyderstwo, za dydaktykę. Główne dziedziny działania: karykatura, którą Juliusz Garztecki nazywał „publigráfica”, rysunki humorystyczne, plakat, cykle felietonów, praca w radiu i TV, scenografia, ilustracje książkowe (ponad 200 pozycji), reklama, wystawiennictwo, spotkania z odbiorcami (w tym bardzo dużo — gratis).

— Wszystkie moje działania to przekazywanie wiedzy o świecie — powiedział mi w 1980 roku. (W tym czasie drukowaliśmy w „Kontrastach” nigdy przedtem nie publikowane, fragmenty pamiętników Szymona Kobylińskiego, przygotowanych do druku przez Wydawnictwo Literackie pt. „Zbrojny pies”). — Po belersku, co bardzo mi odpowiada, a co stanowi obciążenie dziedziczne po ojcu, pracowniku SGGW, działacz Wolnej Wszechnicy i inicjatorze „Pamiętników młodzieży wiejskiej”.

Dzięki wiejskiej działalności ojca i rodzinnym ziemianinowskim koneksjom rodzinny mikrokosmos Szymona, zawsze w dzieciństwie zdarzały się okazy do wyjeżdżania na wieś. Był to szczególny typ wsi „panatadeuszowej”, zamieszkałej wsi chłopsko-dworskiej, gdzie wszystko opierało się na przyjaźniach.

Ojciec matki, Zdzisław Jasiński był malarzem, artystą na poziomie XIX-wiecznej czołówki. „Monachizm”, żarzący impresjonizm. Znałszy przyrównując go do malarzy typu Arentowicza czy Kedzierskiego, a przecież cicho o nim. Cóż więc spowodowało, że Zdzisław Jasiński został „wymyślony” z historii sztuki? I że nie tylko publiczność białostockiego muzeum, gdzie zakupiono niedawno kilka jego prac, ale i nieco wcześniej artysta tej miary co Franciszek Nowowiejski stał przed obrazem uderzony precyzją rysunku i świadomością koloru, a jednocześnie — anonimowością autora?

Otóż Zdzisław Jasiński w swoim czasie niebacznie przyjął zamówienie carskie. Wymalował jedną z imperatorskich dach, w pałacu Carskiego Siola pozostawił dwa międzyplasterne panele, a w pałacyku myśliwskim w Białowieży — wszystkie reprezentacyjne wnętrza ozłoty pod jego pędzlem. Ów pałacyk spłonął doszczętnie w podejrzanych okolicznościach. W mikroskopięj pracowni Szymona Kobylińskiego jeża się ze solany pocierające rogi. Kiedy Jasiński odbierał je wśród innych carskich honorariów, czyż nie przypuszczał, że przylgnie do niego piętno kolaboranta?

— No i właściwie — przypuszczał, że wymyślano jako człowieka. Natomiast niesprawiedliwie — jako malarza.

W ślady Zdzisława Jasińskiego poszła jego córka, Aleksandra, później „ciotuszka” Szymona Kobylińskiego, który od niej, świetnej portrecistki, uczeni najlepšíego grona twórców ze Szkoły Sztuk Pięknych a potem Akademii Sztuk Pięknych uczył się zasad rysunku i kompozycji, czyli „w który klawisz

autora „Ziela na kraterze” i „Karafta La Fontaine’a”. Przyjaźni pana Melchiora z Kobylińskimi poświęciła Aleksandra Ziolkowska akapit swojej wspomnieniowej książki pt. „Blisko Wańkowicza”.

— Ze mną jest gorzej — zwierzał się Szymon Kobyliński. — U mnie „wiedzenie” i świadomością przesartą poziom artystyczny, z którego mam podstawy być niezadowolony. Moje rzeczy w większości nie są tak artystyczne, jak bym chciał, są raczej — po ojcu — bardziej dydaktyczne, belterskie, utylitarne, służące sprawie przekazywania wiadomości przy użyciu najrozmaitszych stylów. Zdaje sobie sprawę, że brakuje mi tak zwanego „wiewu muzy”, toteż rekompensuję sobie to możliwie dużym ładunkiem, powiedzmy, erudyty, wiedzy. Tu mi pomaga właśnie pisanie, gadanie w radiu i telewizji. Jedną z moich

Sam — gorliwy wyznawca przekonania o potrzebie wiedzy interdyscyplinarnej, najchętniej zaszczybiały ludzom ciekawość świata, zdarzeń, przygód naukowych. W telewizji uczy dzieci tajemnicy technik rysunkowych i malarstwa, dla dorosłych zlustrował m.in. książkę naukową Jacka Komorowskiego pt. „Od liczb zespolonych do tensorów, spinorów, algebr ligo i kwadryk”, czy „Nowe Ateny” Benedykta Chmielowskiego. Nie znosi działań porządkowych, zwraca uwagę na zaniechany szereg uwag, pozostawia bez zmian. Za funkcję podziękowań. Jest przeciwny ignorancji, jak w przypadku doktorantki, która Herkulesa z maczugą utożsamia z faraonem. Jest wrogiem niekonsekwencji, przy czym wspiera się pedagogiczną dewizą swojego ojca: albo nie obiecuj, albo dotrzymaj.

Dwa i pół roku temu uścisnął: Pięćdziesiąt trzy lata to nie jest jeszcze taki groźny wiek. Znam parę osób starszych. Ale czuję się trochę starszy: bardziej psychicznie, niż fizycznie. Chyba przez to, że jestem reliktem generacji, której w zasadzie już nie ma. Duchowo jestem po stronie własnych, co już odchodzą. Najłatwiej mi znaleźć wspólny język, wspólne skojarzenia z ludźmi pokolenia moich rodziców. Kiedy poznałem Tuwima, to miałem lat dwadzieścia parę, ale od razu było łatwo rozmawiać, po prostu mieliśmy ten sam rodzaj skojarzeń, bo wyrosłem w tym samym typie myślenia. Wprawdzie dzięki synowi rozumiem co się dzieje i — jako tego belfra — szalenie mnie młodzież obchodzi, ale po prostu jak gdyby sam siedział na tamtej polce.

Dzisiaj syn, Maciej — scenograf filmowy, teatralny i telewizyjny, jeżeli czegoś nie wie, to wie, gdzie szukać, ostatecznie — jak o to spytać ojca. Jeżeli ojciec nie wie, to wie, jak wiedzieć, wie do kogo się zwrócić. Daje to dużo frajdy — mówi ojciec.

Tak więc również w domu Szymon Kobyliński jest od spraw poważnych, politycznych, a pani Danuta — od drobnych i zwyczajnych. Jest organizatorką domowego życia i nastroju. Posiada rzadką właściwość „zielonej reki”. Na szczerym piachu hoduje niespotykane okazy roślin. Motyl, który wykuli się z poczwarki na jej dion, wracał z liści w to samo miejsce. Potrafi porozumieć się z każdym zwierzęciem. Jest wspaniałą babcią szesnastomiesięcznej Wronki. Życie prywatne i twórcze całej rodziny unieśmiertelnia w albumach, których jest już kilkadziesiąt.

Rozmawiałam przez telefon z Szymonem Kobylińskim 13 grudnia bieżącego roku. Zadziwiające. Ten sam optymizm co zawsze, ten ton prześmiewczy i sztydercy, jak go nazwano niedawno w „Rzeczpospolitej”. Ten sam Stańczyk.

KRYSTYNA KONECKA



Danuta Will i Szymon Kobyliński: poznałem żonę w działaniu społecznym, na studiach, jako prezes „Bratniaka”. Wychowałam ją ciałem, od początku naszego stadia.

Fot.: PIOTR SAWICKI

świadomością, jak się robi, zgodnie z zasadą „mnożtwo wiedz, a potem rób sobie, co chcesz”.

Jak w ramach tej zasady realizuje się rodzinne obciążenie? Rozmawialiśmy o tym w warszawskim mieszkaniu na Wilczej i w kilka miesięcy później, w ogrodzie, pracowni i wnętrzu gniazdowskiego domu z siporeksu, nad którym czuwa dobry duch sąsiada z Nadliwia, Melchiora Wańkowicza. Wśród wielu oryginalnych staroci, które należą do Szymona Kobylińskiego i jego żony, malarki i autorki książek o mieszkaniach, Danuty Will — jest niewielka szafa na ubrania z mnóstwem zakamarków, która po zmianie pozycji na poziomą okazuje się być zabytkowym kufrem podróżnym, stanowiącym niegdyś własność

kuchyni stwierdziła, że bardzo lubi grać na fortepianie i dlatego sama nie gra, ponieważ słyszy okropne błędy w swojej własnej grze. Więc ja, jak gdyby, nie gram na fortepianie artystycznie. Mogę być nauczycielem fortepianu, nauczyć, jak jest zbudowany instrument, ile ma strun itd., natomiast nie mógłbym być koncertmistrem, wirtuozem. Pewien wzorzec postępowania w tym względzie stanowił dla mnie niektórzy wykładowcy w Akademii, którzy sami nie będąc oświecającymi plastykami, byli wspaniałymi pedagogami. Jak więc, mój artystyczny rodowód jest niezmiernie krótki i po prostu — urywa się we mnie. I stąd niedostatek artystyczne nadabram — mówiąc najpatetyczniej — pedagogika.

Ostatni płótek

— Nie lubię mieszkać w starych domach. Patrząc na te ciemne belki wyprofilowane, ozdobione różnymi, brzydkimi kwiatami. W moim domu są podobne, ale proste i białe.

— Surowy zasnąłeś już?

— Nie, myślę o jakimś kawale. Należy się Wasatemu. Jutro przecież będzie wieczorek.

— Może sparodiować jego zaciąganie się podczas rozmowy, albo powiedzonka na treningu — biegiesz jakbyś siedział na sedesie, albo wyżej bieda, pierd do przodu jak u Villas’.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

— Surowy.

— Co?

— Spij wreszcie, jutro będzie ciężki dzień.

na równowagę organizmu. Stan, o którym marzy każdy biegacz. Zrobiliśmy na śniegu kreskę, oznaczającą piątą tempówkę. Następnie biegliśmy już bez rozrabiania. A może po prostu mieliśmy dosyć. Tamta tempówka, co przeżyłem była konieczna, była radością, całym urokiem biegania.

— Niespokojnie kręciłem się w łóżku.

— Surowy, śpisz już?

— Nie czekam na Malego. Znowu nie wrócił. Chyba buszuje z wczasowiczkami. Nad ranem wypłoszył go portier i wrócił bez dresów. Ma siłę.

— Żeby nie przegrał. Wasaty wziął go już na oko. Szkoda, bo szukają się dobre wyjazdy.

— Chyba tyle potu jak na dzisiejszym treningu nie nalykałem się nigdy. Mogę

przeżyć ten stadionik, a najbardziej wiosną, gdy wokół wszystko zakwitło. Bieżnia poprawiła się, stała się bardziej elastyczna i jak zawsze dobrze znamy. Trenowałem technikę na płotkach. Zbliżały się już starty z granicą. Miałem kłopoty z atakowaniem płotki. Wreszcie noga prawidłowo wystrzeliła do przodu. Jest dobrze. I tak powtarzałem do znużenia. Przy którejś tam próbie za bardzo wychyliłem się i zapomniałem o nodze zakrocznej. Rąbnąłem w płotek, straciłem równowagę i zwałowa się na bieżnię. Podnosząc się poczułem ból w kolanie. Ładny gips — pomyślałem. Koniec biegania w tym roku. Wracając do ośrodka rozmyślałem o treningach w górach. Cała zima przesuwająca się jak taśma filmowa bez końca.

— Co robisz? Poszedłem do Księżniczki, postawiła sećkę wódki, dała jakieś kołnierzyki. Objeździłem się, za mną biegali maty. Chyba się uśmiechnęli. Wiedziałem co to znaczy. Obaj przypieczyli mi gwałtownie i weszli mi na prowadzenie. Za chwilę minęliśmy mecie. I wreszcie swobodny wytłumiony oddech, cudow-

— przestań się palancie bać. Niżej, ocieraj tyłkiem o płotek.

— Długo czekałem na ten dzień. Tymczasem obaj odpoczywaliśmy. Obok leżały nowe, czerwone dresy z białym napisem na plecach — Polska. Nie lubię hoteli, są wszędzie podobne, ale nie chciałem też wychodzić na słońce.

— Surowy, byłeś już w mieście, obejrzałeś wystawę. Jakże tu są baby?

— Wierz mi, spotkałem na ulicy jednego Polaka. Stała tu mieszkanka. Zapytał czy wygramy i czy będą grać polski hymn na stadionie. Powiedziałem, że na pewno. Dałem mu na pamiątkę pięciociotkę. Wiesz co zrobił — pocałował orzełek.

— Surowy, powiedz tak szczerze, jak z formą?

— Tego nikt naprawdę nie wie. Na rozgrzewce jest

wszystko o'key, a potem wychodzisz na bieżnię i nogi masz z waty. Stajesz się dziwnie ospały i obojętny na wszystko. To jest najgorsze. Czasami mam piecra.

— Daj spokój, nie kracz, śpij, jutro startujemy.

— Jeszcze chwilę. Nie rozumiem dlaczego ludzie nam zazdroszą.

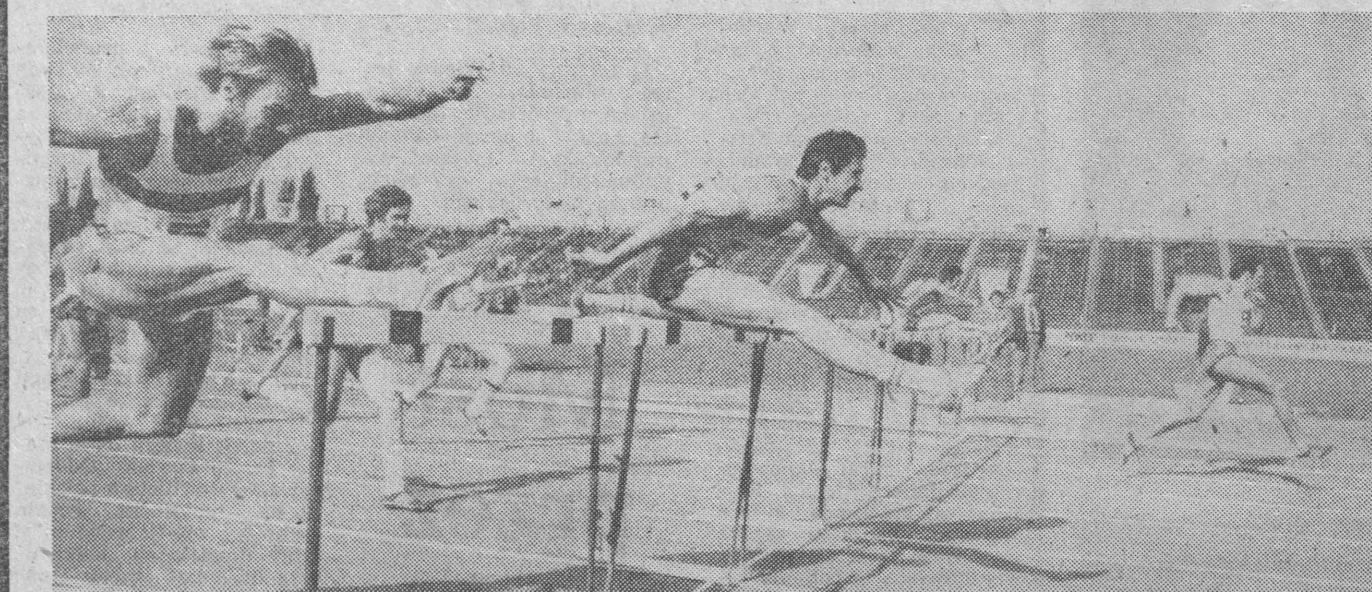
— Może sławy i podróży?

— A jak myślisz, czego powinni nam zazdrościć.

— Chyba walki, smaku zwycięstwa, porażki, przyjaźni. To wszystko jest jak narkotyki.

— Jutro już usłyszysz na starcie — Auf die Plätze! Pamiętaj, musimy wygrać z Niemcami. Tylko biegnij nie na wariata. Spokojnie, rytmicznie przez pierwsze trzydzieści metrów — później na całego, na gaz.

LESZEK TARASIEWICZ



przed budynek. Wokół male osnieszona śniegiem. Waska ścieżka prowadziła w górę. Śnieg powysięgł kostek. Atmosfera spokoju i surowego piękna. Grupa płotkarzy, jeden za drugim jakby przylepieni do siebie, biegli pod górę. Odgłosy trzeszczącego śniegu i szybkie oddechy. Meta na górze, koło skatki. W skroniach coraz szybciej pulsował rytm własnego serca. Zmęczenie wzmagało się z każdą sekundą. Na czoło czułem zimną warstwą potu. Fragmenty lasu coraz bardziej zacierały się, przesuwwały jak w kalejdoskopie. Bałem się, że w chwili mojej słabości Surowy przyspieszy i zacznie się oddalać, a grudi śniegu przestaną bić w moje piersi. Wreszcie i na jego plecach zaczęła rozstrastać się duża plama potu, przypominająca swym kształtem ośmiornicę. Obejmowała swymi ramionami całą jego sylwetkę jakby chciała zniszczyć ten równy odcień.

Przeżywa to samo co ja — to dodało mi siły. Słabość innych pozwalała zapomnieć o własnej. Objeździłem się, za mną biegali maty. Chyba się uśmiechnęli. Wiedziałem co to znaczy. Obaj przypieczyli mi gwałtownie i weszli mi na prowadzenie. Za chwilę minęliśmy mecie. I wreszcie swobodny wytłumiony oddech, cudow-

przez tydzień wszystko jest bez soli.

— Lubię ten stadionik, a najbardziej wiosną, gdy wokół wszystko zakwitło. Bieżnia poprawiła się, stała się bardziej elastyczna i jak zawsze dobrze znamy. Trenowałem technikę na płotkach. Zbliżały się już starty z granicą. Miałem kłopoty z atakowaniem płotki. Wreszcie noga prawidłowo wystrzeliła do przodu. Jest dobrze. I tak powtarzałem do znużenia. Przy którejś tam próbie za bardzo wychyliłem się i zapomniałem o nodze zakrocznej. Rąbnąłem w płotek, straciłem równowagę i zwałowa się na bieżnię. Podnosząc się poczułem ból w kolanie. Ładny gips — pomyślałem. Koniec biegania w tym roku. Wracając do ośrodka rozmyślałem o treningach w górach. Cała zima przesuwająca się jak taśma filmowa bez końca.

— Co robisz? Poszedłem do Księżniczki, postawiła sećkę wódki, dała jakieś kołnierzyki. Objeździłem się, za mną biegali maty. Chyba się uśmiechnęli. Wiedziałem co to znaczy. Obaj przypieczyli mi gwałtownie i weszli mi na prowadzenie. Za chwilę minęliśmy mecie. I wreszcie swobodny wytłumiony oddech, cudow-

Peweksowska zyletka milej pięci skórze niż rodzime polsilwery. Tnie zarost jak kosa z przedwojennej stali, czasami ciśnie po skórze, ale nie z wredoty, zagranicznej fuszerki, lecz ludzkiego pośpiechu. Jak to jest? Obrobić dziesięć albo piętnaście hektarów człowiek zdąży, napić, nakarmić i wydoić trzydzieści krów też, a ogolić się brakuje czasu. Widocznie ten, co urządził świat, przewidział dla chłopca na różne łaźniakowo-pozagospodarskie zajęcia czas tylko dwa razy do roku — przed większymi świętami. Ten główny architekt też zgroza musi teraz spoglądać, jak chłopci gołą się aż co tydzień do tego dolarowymi zyletkami.

Nieraz gołi się muszą nawet częściej, tyle tych spraw do urzędu narosło, nieprzewidywanych wyjazdów do miasta. A że zyletka peweksowska? Skąd inne wziąć, kiedy przez cały rok do sklepu przywieźli tylko dwadzieścia

NA
ZDJĘCIU:
geodeta
Mirosław
Charkiewicz
i pomocnik
Bolesław
Krzemieniecki
idealnie
scentrowali
punkt
granic
leśnej.



O lesie wiedzą wszystko

Jest grudzień, drzewa potraciły kolorowe liście, dawno minęła pora babiego lata, czerwienią się tylko jeszcze grona jarzębiny. Ale dopóki ziemia nie zamrznie i śnieg nie sypie się za kolarz, można jeszcze w lesie pracować. Więc każdego ranka wyruszają w las geodeci.

Trzech z nich spotykamy w środku boru, do-
kład widać kręte, wy-
stające drogi. Geodeci — Mirosław Charkiewicz, Bogusław Przybylski i ich etatowy pomocnik Bolesław Krzemieniecki — idą do punktu pomiaru kątów, tyczki, stalowe taśmy, tasaki i szpilki. Dziś ustalają granicę państwową między lasami państwowymi od prywatnego. Jest to już inna granica niż była poprzednio, bo teren lasu państwowego powiększył się o nowe działki. Dziennie wypada im ustalić 30 granic w leśnych kwar-
talach. Przez całe lata do późnej jesieni są sami w lesie, tylko we trójkę. Wychodzą do pracy o szóstce i kończą gdy

już dawno zajdzie słońce. Nie mają ustalonej pory obiado-
wej, nigdzie ich nie oczekują z gorącą potrawą. Mówią, że do tej pracy potrzebni są lu-
dzie twardzi. W Biurze Urządzenia Lasu i Geodezji Leśnej w Białymstoku jest 36 geode-
tów. Ich zadaniem jest przy-
gotować pomiary, określić granice kwartałów.

Po nich wejdą do lasu tak-
satorzy i rozpocznie się inwen-
taryzacja drzewostanu.

Jesteśmy jak ten klucz
dzikich gęsi, który klan-
gorem oznajmia każdej
wiosny i jesieni swoje powro-
ty i odloty — mówi Zbigniew
Bor, leśnik taksator od 27 lat,

zielone liście, a jakie dopiero
przy końcu wiosny. Obserwu-
ją rozpaczliwą walkę drzew o
istnienie.

Drzewa umierają stojąc, ale
przychodzą kataklizmy, które
zamieniają całe leśne pola-
cie w rumowiska. Są to wy-
jątkowo śnieżne zimy, kiedy
pod ciężarem śniegu i szadzi
lamia się gałęzie, huragano-
we wichury, przed którymi nie
ostoi się drzewo najsilniejsze.
Wszystkie te sploty i zdarzenia
są przez taksatorów skrupulatnie
odnotowywane.

Leśnicy i geodeci mówią,
że to już nie te bory, o
których się czyta w sta-
rych, myśliwskich kalenda-
rach. Niewiele jest dziś ta-
kich lasów, gdzie słońce z tru-
dem przedziera się przez ko-
nary drzew niebosiężnych. La-
sy po czasach gospodarki nie-
przemysłowej odradzają się po-
woli.

Taksator Andrzej Kamiński
zna las „od podszewki”.
— Nie ma już dzisiaj takich
miejsc — mówi z zadumą —
gdzie bym nie spotkał ludzi.
Dawniej szło się kilometrami
w leśnej ciszy, w zagubio-
nych uroczyskach czuło się
samotność. Dzisiaj wszędzie
spotyka się wydeptane drogi,

Gdy taksatorzy znajdują się zimą
w miejscu, łatwo ich od-
różnić od innych przechod-
niów. Chodzą z głową uniesio-
ną ku górze, z nawyku po
prostu, bo w lesie nie tylko li-
czą drzewa, lecz po konarach
określają ich wiek, wysokość,
grubość, rozgałęzienie. Ich u-
wagę nie ujdzie żaden szkod-
nik zagrażający drzewom. Ani
huba, ani opieńki, których
grzybnie wyrastają spod
kory i niszczą ją, a prze-
de wszystkim zaraza nad za-
razami — mniszka brudnica sie-
jąca spustoszenie. Po inwazji
brudnicy nie odrodzi się już
świerk i skażać go trzeba na
wycięcie. Leśnicy zbierają te
wszystkie informacje, które
będą cenne przy sporządzaniu
map.

O lesie wiedzą prawie wszy-
stko. Wiedzą, że każde drze-
wo starzeje się w inny sposób.
Akacja inaczej, klon inaczej,
sosna, świerk, dęby mają in-
ne prawa życia. Wiedzą, jakie
drzewo najwcześniej rozpuści

miejsca po wygasłych ognis-
kach, ślady biwakowania. Klu-
sownicy rozstawiają „wniki”
pętle z żelaznego drutu. Takie
pułapki groźne są też i dla
ludzi, gdy wejdzie się na nie
zniechęca.

Andrzej Kamiński prze-
mierzył w tym roku dziesiątki
hektarów lasu. Policzył 3 ty-
siące sztuk drzew, określił ich
wiek, grubość, wysokość, o-
kreślił także ilość drzew rosną-
cych na jednym hektarze.
Tęto lata widział w lesie tyle
łoci, jak nigdy przedtem, choć
leśne dukty przemierzają już
23 lata. Tylko wilka nie spot-
kał ani razu. Natomiast wpa-
niałego, wielkiego basiora na-
potkał kiedyś Zbigniew Bor
i to było wydarzenie nadzw-
yczajne, bo sarny przemierzają
po drogach to rzecz zwyczaj-
na.

Tak naprawdę to Andrzej
Kamiński ma już dość tego
chodzenia wśród drzew z głó-
wą zadartą do góry. Bierze
właśnie ostatnią tego roku de-

legację i jedzie do Żytkiejm.
Ale niech tylko przyjdzie
wiosna, las znowu będzie wo-
dził go na pokuszenie. I on o
tym dobrze wie. Bo ci ludzie
obejść się już nie mogą bez
kojącego spokoju leśnych trak-
tów.

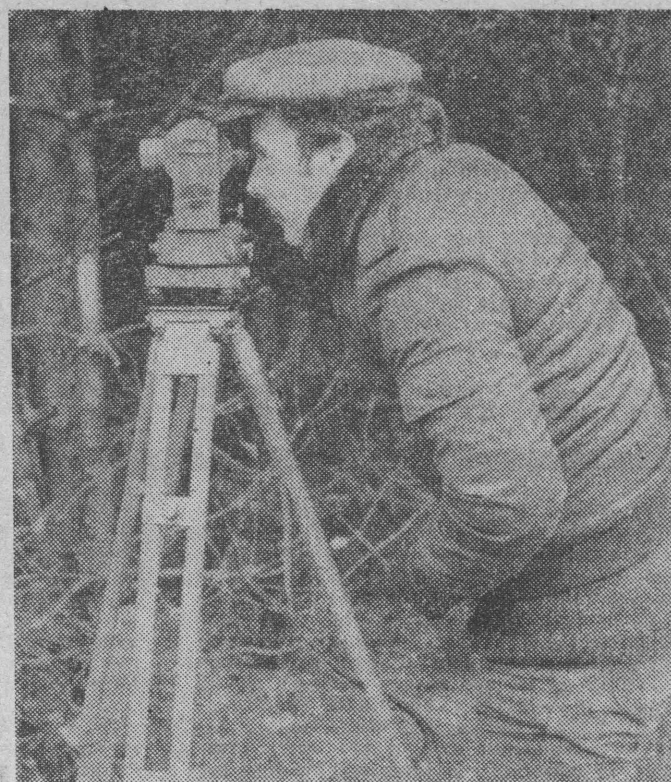
Zima jest bynajmniej
nie porą odpoczynku.
O tej porze roku, gdy
już do lasu wejść nie można
pracują w swojej bazie, w
Biurze Urządzenia Lasu i Geo-
dezji Leśnej. Tu zwyczajnie
siedzą za biurkiem i nanoszą
na mapy cały swój dorobek z
wiosny, lata i jesieni. Jedną z
map zdobi ścianę skromnego
gabinetu dyrektora biura
Czarneckiego. Z niej można
się dowiedzieć, jakie regiony
kraju najbogatsze są w lasy.
I okazuje się, że nasz region
wypada ubogo. Zielony kolor
lasów dominuje na zachodzie
Polski.

Mapy tu sporządzane są pod-
stawą działalności leśnej gos-
podarki. Zawierają informacje
między innymi o tym, gdzie
są nasienne drzewostany, os-
toje zwierzyzny, rezerwy
przyrody, szlaki turystyczne,
gdzie i jakie są siedliska drze-
wostanu. Z nich można się
dowiedzieć, gdzie rosną jesz-

cze sosny liczące 110 lat, a
gdzie dęby, których wiek o-
blicza się na lat 240. Można
nawet uzyskać informacje
skąd brać świerk drobnoisto-
ty nadający się na instrumen-
ty muzyczne, lub sosny prze-
znaczone do budowy szybow-
ców. Na mapach oznaczone są
partie lasu wyłączone z cięć i
drzewostany, które wyciąć na-
leży. Na ich podstawie sporzą-
dza się wieloletnie plany użyt-
kowania lasu, odnowienia, za-
gospodarowania. Określają
prawidłową gospodarkę lasu,
właściwą eksploatację bez
szkody dla drzewostanu. Jed-
nym słowem — nadają posz-
cęgólnym nadleśnictwom
rytm życia.

Lasów państwowych i
prywatnych mamy w
trzech województwach
naszego regionu ponad 700
tys. hektarów. W czasie lata
trzeba zajrzeć w każdy zaką-
tek, wymierzyć, obliczyć i opi-
sać każdy skrawek leśnej
głuszy. Chociaż pracownicy
Biura Urządzenia Lasu i Geo-
dezji Leśnej czynią to już
przez 25 lat, roboty starczy im
jeszcze na całe lata, bo w
przyrodzie wciąż się coś zmie-
nia.

ANNA ZAREMBINA



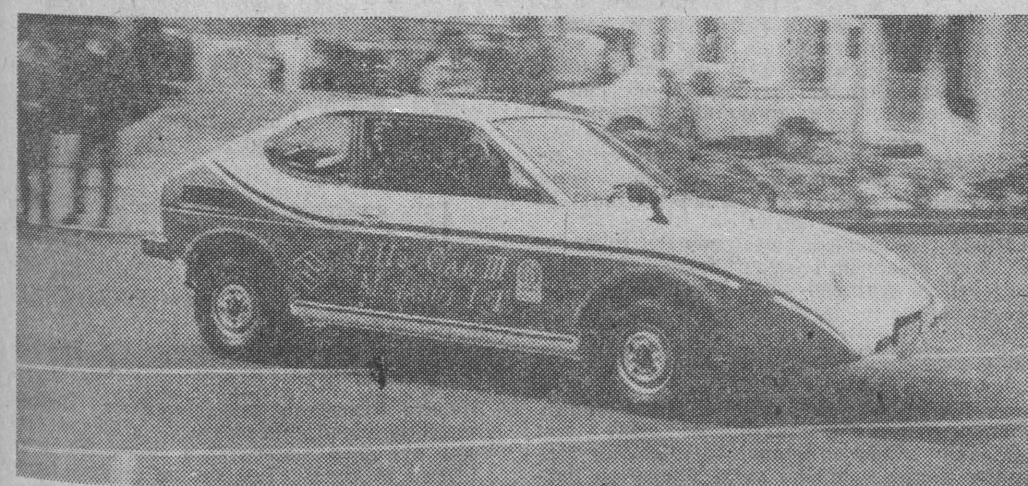
Bogusław Przybylski mierzy kąt przy pomocy
teodolitu.

Fot. ZDZISŁAW ZAREMBA

Samochód przyszłości⁽¹⁾

Siedząc przez kilkanaście lat rozwój techniki motoryzacyjnej widać zachodzące w niej
zmiany, można również dostrzec kierunki jej dalszego rozwoju. Za datę o znaczeniu prze-
łomowym uważa się rok 2000. Jaki zatem będzie samochód końca dwudziestego stulecia?
Na to pytanie można odpowiedzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa.

Już dzisiaj widać, iż prace badawcze i konstrukcyjne pójdą w trzech kierunkach. Prze-
de wszystkim problemy dotyczące napędu — jakie silniki? Drugim kierunkiem będzie bez-
pieczeństwo ludzi, trzecim wreszcie sprawy aerodynamiczne.



Widoczny na zdjęciu samochód napędzany jest paliwem, którym jest ciekła mieszanina
wodorowa. Ten prototyp — Musashi III — nie zanieczyszcza powietrza i pozwala na
osiągnięcie szybkości do 120 km/h.

Fot. CAF — Pana

Zacznijmy od silników. Wed-
ług stanu wiedzy na dziś, mo-
tory z zapłonem iskrowym, a
więc wszystkie napędzane e-
tyliną, osiągnęły bardzo wy-
soki stopień sprawności. Panuje
zgodna opinia, że z niego nie
da się zbyt wiele „wyduśić”.
Jedyną drogą są badania ma-
jące na celu taką jego kon-
strukcję, która będzie znacząco
wpływała na trwałość posz-
czególnych elementów oraz na
zużycie paliwa. Chodzi o wy-
tworzenie takich jednostek
napędowych, które przy zuni-
fikowanych elementach będą
bardzo ekonomiczne, a przy
tym bardzo trwałe. Za kilka-
dziesiąt lat, w takich silni-
kach, dominować będzie elek-
tronika i to w stopniu, który
dzisiaj jest jeszcze w sferze
marzeń. Oczywiście, wykorzy-
stywane będą powszechnie tur-
bosprężarki montowane obec-
nie w nielicznych modelach.

Trwające prace badawcze i
konstrukcyjne nad silnikami
wysokoprężnymi pozwalają
przypuszczać, iż mają one
przed sobą przyszłość. Już o-
becną uważa się je za bar-
dziej ekonomiczne od silników
z zapłonem iskrowym; bar-
dziej trwałe. A to przecież bar-
dzo liczy się w czasach ogra-
niczeń energetycznych.

Silniki wysokoprężne — w
wyniku długoletnich prac ba-
dawczych — bardzo poważnie
„straciły” na wadze, stały się

wyjątkowo ekonomicznymi
jednostkami napędowymi. In-
żynierowie wiążą z nimi ol-
brzymie nadzieje. I kto wie,
czy za kilka lub kilkanaście
lat nie pojawi się na rynku
samochodów z takim silnikiem,
zwykłym z dwóch litrów
oleju napędowego potrzebnego
do przejechania 100 km.
Podobnie jak w silnikach
benzynowych, w dieslach za-
stosowano sprężarki, które
znacząco poprawiły ich osią-
gi. Można śmiało przyjąć, że
w końcu naszego stulecia i po-
czątkach przyszłego, samocho-
dy wyposażone w silniki wy-
sokoprężne będą dominowały
na drogach.

Trzecim wreszcie rodzajem
silnika jest silnik elektrycz-
ny. Od kilkudziesięciu lat
trwają prace naukowe zmie-
niające do jego wykorzystania
w ruchu drogowym. Co
pewien czas dowiadujemy się
o kolejnych rewelacjach w
tej dziedzinie. Niestety, są to
pojedyncze egzemplarze mają-
ce ograniczone możliwości. Je-
dynym rozwiązaniem będą
technologie pozwalające na
wykorzystanie już obecnie
istniejących „akumulatorów”.
Rzecz w tym, że koszty ich
wytworzenia są nieprawdopo-
dobnie wysokie.

Ostatnim wreszcie rodza-
jem silnika jest turbina. Po-
dobnie jak w przypadku na-
pędu elektrycznego, konstruk-

torzy i tutaj natrafili na ba-
rierę technologiczną. Można
zrobić silnik turbiny do sa-
mochodu osobowego, i — kto
wie — czy właśnie przed nim
nie otwierają się największe
perspektywy. Rzecz w oparo-
waniu nowych technologii, a
może — po prostu — zastoso-
waniu materiałów już obecnie
istniejących, a wykorzystywa-
nych przez cały przemysł kos-
miczny.

Skoro jesteśmy przy silni-
kach, nie można pominąć pa-
liwa. Otóż wbrew przepo-
wiedniom etyliny i olej napę-
dowy nie zostaną zarzucone
jako źródła energii na rzecz
alkoholi, biomasz itd. W da-
łej się przewidzieć perspek-
tywy, energię do napędu sil-
ników „będziemy składać z kilku
elementów. Będzie tam etylin-
a, alkohol i — być może —
dodatki biomasz. Według pro-
gnoz, ilość pojazdów będzie w
dalszym ciągu rosła, a zapasy
ropy naftowej będą powoli
wyczerpywały się. Na lata
końcowe bieżącego stulecia
zakłada się bardzo radykalne
ograniczenie zużycia paliw.
Przy prawie dwukrotnym
wzroście ilości pojazdów zu-
życie paliw pozostanie na po-
ziomie lat osiemdziesiątych.

(edn)

JANUSZ GRYSIN

tych za metr, za co uzyskał w sumie 350 ty-
sięcy zł. Odliczając koszt sadzenia, obro-
nika, nawozów, paliwa do ciągnika, wresz-
cie dodając coś za pracę własną i najętych
ludzi, pozostaje pewna suma, może 150, może
200 tysięcy. Żadnych dodatkowych korzyści z
tej uprawy nie ma, bowiem ziemniaczane li-
stwy dają jedynie trochę próchnicy. Chcąc ho-
dować bydło mleczne, musi mieć kiszonkę.
Aby uzyskać tę ilość paszy, co ma z buracz-
nych liści, trzeba co najmniej dwa hektary
osiąść kukurydzą.

po roku

— Zająć pod kukurydzą dwa hektary, tra-
cić rocznie do 300 tysięcy. Kalkulacja na bu-
rak jest dobra, jeżeli to ma być powiązane z
hodowlą. Nakład pracy duży, ale kto ma by-
dło, musowo siał. Chyba, że ktoś byle jak ho-
dował, prowadzi, karmi zimną tylko siano i
wydół od krowy z pięć literków. Ja przy swo-
jej paszy doje nawet po piętnaście.
Nie znaczy to jednak, że Malecki nie widzi
dysproporcji cenowych. Wręcz przeciwnie,
— Ten rok źle zapowiadał się a buraki do-
bre wyszły w korzeniu. Wozilem na wcze-
niejsze dostawy. Zapłacili mi za to 204,990
złotych oraz 30 ton mokrych wysłodków.
Już tak do buraków i krow ustawił się, za-
planował życie na najbliższe lata, a tu do-
cierają sensacyjne wieści. Buchła plotka, że
łapska cukrownia z powodu deficytu nie bę-
dzie robiła cukru tylko przestawi się na spi-
rytus. Gorzelnia robią.

pielegnacji, nawożenia. Ale tak nigdy nie bę-
dzie, bo kto za buraka zapłaci ponad tysiąc
złotych? Nie dadzą nam dobrej ceny, przy-
wiozą za Lublin. Tutaj i tak cukier kosztu-
je najwięcej, więc co za różnica.
Nie każdy tak kalkuluje jak Malecki, nie
każdy też prowadzi gospodarstwo z pełnym
rozmachem. Plantatorzy buraka cukrowego,
którzy tylko tym się trudnią, dostają po
kieszeni. Widać to zresztą po umowach kon-
traktacyjnych. Ludzie w tym roku ociągają
się, nie dają się łatwo nabierać.
— Kontraktacja tępo idzie według tamte-

Takie podejrzenia miał Malecki już przed
rokiem. Bo jak ma być dobrze, kiedy widzi
ślamazarstwo cukrowni, buraki kupuje wcze-
śniej, więcej, płaci, a przerabia dopiero po
mrozach. I co z tego. Zamiast cukru płynie
melasa. Z melasy dobry spirytus, z pół kilo
leci cały litr. Spirytus spirytus, ale dla ta-
kich rolników jak Malecki będzie kłopot.

— Burak jest w naszej tradycji. Daniłowo,
Cibory, tu dużo siał. A pod Białostok, Bo-
rowskie takie, prawie w ogóle nie uprawiają.
Co im tam, na nas spadnie kłęska.

Dobrze, że ma się trochę znajomych, cho-
ciażby takich, jak szwagier. Związał w cu-
krowni sprawę i strachy uleciały. Żadne prze-
brązowanie, tylko dobudówka. Wówczas
Malecki z uznaniem pomyślał o dyrektorach.
Po co tę melasę wozić do Pietkowa czy pe-
geerów, lepiej, żeby na miejscu spłynął z niej
spirytus. Na tym czortostwie nikt się jeszcze
nie zawiodł, z producentów oczywiście.

Dla niego sprawa przy buraku najważniej-
sza to mechanizacja. Gdyby nie dał oprys-
ków, kłapa. Ludzi do pienia teraz nie znaj-
dziesz. Stare już nie dadzą rady a młode nie
chcą. Gdyby nie ten oprysk, zasiałby tylko z
pół hektara, nie więcej.

— Ogławiamy „orkanem” z eskaeru. U nas
eskaer Łapy Strumianka. Z tym najwięcej
bywa kłopotu. Zamówisz na jutro, a on za
trzy dni na pole przyjdzie. Siedź i czekaj, kie-
dy w cukrowni termin domówiony. Potem już
sobie poradzę. Mam lekki ciągnik, dobry przy
buraczanych pracach. Zapuszczam kultywator
głębok, a za nim brony. Idę wolniutko, na
jedynce. Kultywator wyciąga, a brony bu-
raka oczyszczają. Bieda, kiedy sucho. Urywa
buraki. Wyoruję tyle, co na raz dostarczyć do
cukrowni. Burak wyorany szybko przesy-
cha, duża strata na wadze.

Oni przez tamte lata w cukrowni za późno
zaczynali, to zgubił on dużo. Im wcześniej,
tym lepiej, bo chociaż plon mniejszy, ale pew-
niejszy.

Kto ma tym rolnictwem rządzić. Wczoraj
Rakowski powiedział, że on za rolnictwo nie-
odpowiedzialny. Jeżeli w ministerstwach
każdy tylko za swój dział odpowiada, nie
dźwiesz się, że są takie dysproporcje cenowe.
Rządzenie państwem to samo, co gospodar-
stwem. Wszystko stanowi ognio wspólne
łajfucucha. Powinna być dyskusja ministrów,
doradców, ludzi mądrych. Powinni tłumaczyć
dla Jaruzelskiego, bo on nie wszystko może
sam zrozumieć.

Jak będzie dalej? Ten stan wojny dla mnie
nie przeszkadza. Teraz, jak ludzi odjeły w
miastach od ust, zrobili kartki i podnieśli ce-
ny, więcej na wioskę przyjeżdża pomagać.
U nas na wsi, chociaż jest robota, to człowiek
naje się, Gorze, kiedy przygłody. Panu żo-
na gotuje czy do komitetu chodzi? O, dobre
tam obiady, stołówka na dole. Byłem tam
kiedyś na szkoleniu soltysów.

Zyje Malecki rok po roku, rozbudowuje
gospodarstwo, dopieszcza obejście. Jest do-
bry, nawet bardzo dobrym gospodarzem,
potrafi liczyć, potrafi też obserwować świat
wokół i wyciągać wnioski.

Przed rokiem powiedział:
— Zobaczymy, pokżyjemy. Ale jakoś niecie-
kawie się zanosi. Słyszysz pan, teraz ten zjazd,
Rakowski obrazili.

Natomiast po roku:
— Z przeglądu prasy wynioskowałem, że
poprawy w Polsce nie będzie, a tu jeszcze
Amerykanie klauzule cofnęli.

KAZIMIERZ SIEMIENIAKO

Może przebaczą nam duchy

DIONIZY SIDORSKI

Rozpoczynamy dzisiaj druk fragmentów dokumen-
talnej opowieści pisma Dionizego Sidorskiego pt.
„MOŻE PRZEBACZA NAM DUCHY”, która w wyda-
niu książkowym ukaże się w roku przyszłym nakła-
dem Wydawnictwa „Pojezierze”. Czytelnicy „GW”
jako pierwsi mają więc możliwość poznania tej intere-
sującej książki mówiącej o dziejach miłości Artura
Grotgera i Wandy Monné.

Któż ze starszego pokolenia Polaków nie słyszał
o Arturze Grotgerze, grafiku, malarzu, którego
obrazy przeniknięte niepokojącą atmosferą me-
sjanizmu (choćby sceny sybirskie), martyrologii
powstańców, narodowej żalobny przez dziesiątki
lat uczęły nas patriotyzmu i budziły niezapomniane wzru-
szenia.

„Naivna dosłowność rysunku — pisał w „Sztuce po-
lskiej” Stanisław Dobrowolski — w połączeniu z żarliwo-
ścią uczuć sprawiła, że jego realistyczno-poetyckie kar-
tyny były rozumiane przez wszystkich. Dzięki temu artysta
organizował wyobraźnię narodu i narzucał mu własną
wizję roku 1863. Była ona artystycznie prawdziwa i spójna
z odczuwaniem społeczeństwa polskiego, chociaż kształto-
wana na obczyźnie, z dala od teatru powstańców dzia-
łań. Łącząc epikę z symbolizmem przedstawiał aktual-
ne wydarzenia warszawskie poprzedzające powstanie
„Warszawa I i II”, dramatyczne epizody samego pow-
stania „Polonia” — 1863, „Lituania” z lat 1864—6, a w
koncu potępił bezapelacyjnie instytucję wojny „Wojna” z
lat 1866—7, zbliżając się w humanistycznej intencji do
cyklu Goyi „Okropności wojny”. W ślad za Dantem wpro-
wadził motyw mowy-przewodniczek w labiryncie ludz-
kiego okrucieństwa”.

Artur Grotger żył krótko, bo zaledwie 30 lat, a po-
stał po sobie dorobek tak znaczący dla polskiej kultu-
ry. Urodził się 11 grudnia 1837 roku w Otyńowie, ma-
jątku dzierżawionym przez jego ojca, Jana Józefa, od hra-
biego Hilarego Siemianowskiego, swego opiekuna i wy-
chowawcy, a właściwie dziadka, bo jego z kolei ojciec Hi-
lary był nieślubnym dzieckiem hrabiego i guwernantki
francuskiej, przybyłej ze Szwajcarii, panny Grottger. Ma-
tka Artura była Krystyna z domu Błażowa de Chodolow-
skich, jedna z córek byłego oficera huzarów węgierskich (później
urzędnika przy sądzie szlacheckim we Lwowie) i krako-
wianki, Kunegundy Laszkiewiczówny. Mimo tej skompli-
kowanej genealogii dom państwa Grottgerów był typowy
polski, a wafły fizycznie Artur wzrastał w kręgu powstań-
czej legendy. Ojciec przyszłego artysty walczył w pow-
staniu listopadowym w 5 pułku ułanów. Był znakomitym
gawędziarzem, uwielbiał konie, psy, polowania, kuligi, a w
chwilał wolnych oddawał się malarstwu. U niego też po-
bił Artur pierwsze lekcje rysunku, potem w Szkole
Sztuk Pięknych w Krakowie wspólnie z Janem Matejką
i Aleksandrem Kotłowskim, wreszcie w Akademii wiedeń-
skiej.

Rodzeństwo miał niezbyt liczne: siostrę i dwóch braci,
z których jeden, Jarosław, weźmie udział w powstaniu
 styczniowym i zostanie potem zesłany na Syberię. Artur,
jak i jego rodzeństwo nie odziedziczyli po rodzicach żad-
nego majątku. Zdobędzie on sławę i uznanie, ale całe nie-
małe życie upłynie mu w potwornych kłopotach finanso-
wych. Nie zdola sobie zapewnić domu, za którym tak tesk-
nił. Mieszkając będzie w coraz to innym dworze, korzysta-
jąc z gościnny galicyjskiego ziemiaństwa. Umrze we Fran-
cji na suchoty.

Postać jego została owiana jeszcze inną romantyczną
legendą nie tylko artysty. Stał się bohaterem jednego z
najbardziej głośnych i znanych romansów drugiej połowy
XIX wieku. Trwał on krótko, ale nacechowany był tra-
gizmem i jednocześnie niepowtarzalnym, naiwnym skąd-
inąd klimatem poetyckości, młodzieńczej, bardzo świe-
żej, niemal dziecinnych wzruszeń. Pamięć tej miłości, tak
szlachetnej, czystej niczym woda źródłana, okazała się
niemal wieczna, w dużej mierze dzięki współbohaterce
tego romansu Wandzie Młodnickiej z domu Monné, któ-
ra do śmierci ją kulturowała, potęgając legendę.

Kiedy Artur ją poznał w początkach 1866 roku miał już
skończony 28 lat. Ona, niespełna 16! Urodziła się 25 kwiet-
nia 1850 roku. Mieszkała wówczas we Lwowie w domu
wielkiej, starej panny, Teresy baronówny Wentz z
Niederlahnstein, właścicielki i kierowniczki Zakładu Nau-
kowo-Wychowawczego dla panienek z dobrego domu, któ-
rą z czołuszek Wanda również nazywała matką. W rzeczy-
wistości jest nią młodsza siostra baronówny Teresy, Kor-
della Monné, od lat nie żyjąca ze swym mężem. Wanda
jest trzecią z jej i umiłowaniem obu samotnych kobiet,
pragnących ją wydać bogato za mąż i w ten sposób za-
pewnić jej dostatek przyszłości. Wanda jest Polką, ale
potomkinią szlacheckiej rodziny francuskiej, która w okre-
sie Wielkiej Rewolucji wyemigrowała do Polski. W swym
rodzinnym kraju rodzina ta podpisywała się Monné de la
Tour. Młodzieńcza i nad wyraz wrażliwa panienka „Dzieciś”,
jak ją często nazywał wiele od niej starszy Grotger, stała
się natchnieniem artysty, a jej twarz często spotykamy w
obrazach „Lituanii” i „Wojny”.

Dzieje miłości obojga młodych zostały dokładnie zdoku-
mentowane w pamiętniku i zapiskach czynionych na go-
ściach, Wandy Monné i niezwykle licznych i obszernych li-
stach Artura; w sumie — parę tysięcy stron chaotycznego
zapisu życia, jakby utrwalonego na taśmie magnetofono-
wej. Po zapoznaniu się z tym materiałem, postanowiłem
stworzyć dokumentalną opowieść o dziejach wielkiej mi-
łości Artura Grotgera i Wandy Monné, dziełach, których
narratorami byłby sami bohaterowie. Mnie pozostała ro-
la selekcjonera i konstruktora dramatycznego kształtu
opowieści. Postąpiłem z dostępny mi twórczym tak, jak
czynia to autorzy radiowi, dowolnie montując i komponu-
jąc, nadając prawie „bezsztatnej” masie słów dramatu-
giczny, plastyczny a i faktograficzny ostateczny kształt.
Starłem się oczyścić ów dokumentalny, chaotyczny zapis
z ogromnego ładunku sentymentalizmu, którym charak-
teryzują się zwłaszcza listy Artura, wydobyć z nich to, co
najważniejsze, a jednocześnie nie uronić nic, ani z klima-
tu, ani z bogactwa zdarzeń. Poza tym wstępem nie ma w
tej książce prawie ani jednego słowa, które nie wypowied-
dzałoby usta Wandy Monné i Artura Grotgera. Jest to
więc opowieść napisana ich słowami i dzięki temu posia-
dająca ogromny ładunek autentyczności. Tak mi się przy-
najmniej wydaje.

Kiedyś Melchior Wańkowicz marzył o „napisaniu” ksią-
żki złożonej z samych cytatów zakonponowanych przez sie-
bie w dramatyczną całość, a Wanda Młodnicka z domu
Monné pisała pod koniec swego życia do Kornela Ujejskie-
go, z myślą o Grotgerze:

„Dziwnie, jak się to słowa ponne wieszczów narodu uwa-
ża za własność ogółu; jak się te, nieprzeznaczone dla nas
myśli, chwile chwytają i bada, chcą dać źródło doświ-
ad. A jednak w tem chwytaniu naszym wiele jest miłości i mo-
że w jej imię przebaczą nam duchy”.

Ciąg dalszy na stronie 8

DIONIZY SIDORSKI

Może przebacza nam duchy

Poznanie

Ciąg dalszy ze str. 7

WANDA MONNE:

W pierwsze święto Bożego Narodzenia roku 1865 siedziało na czterech panien w pokoiku Róży Ziętkiewiczówny w dworcu Tadeuszów Skolimowskich we Lwowie. Dwie córki Wincentego Pola, Róża i ja, najmłodsza z gromadki. Rozmowa toczyła się żywo o nadchodzących zapustach. Polówki opowiadały o minionych swych sukcesach. Wiele bywały i bawiły się już w życiu i zrezygnowały już z przyjemności bałów. Róża w kwiecie młodości, z zapalem wymyślała stroje dla siebie, a ja, żądnych nie mając doświadczeń, słuchałam, mało się odzywając.

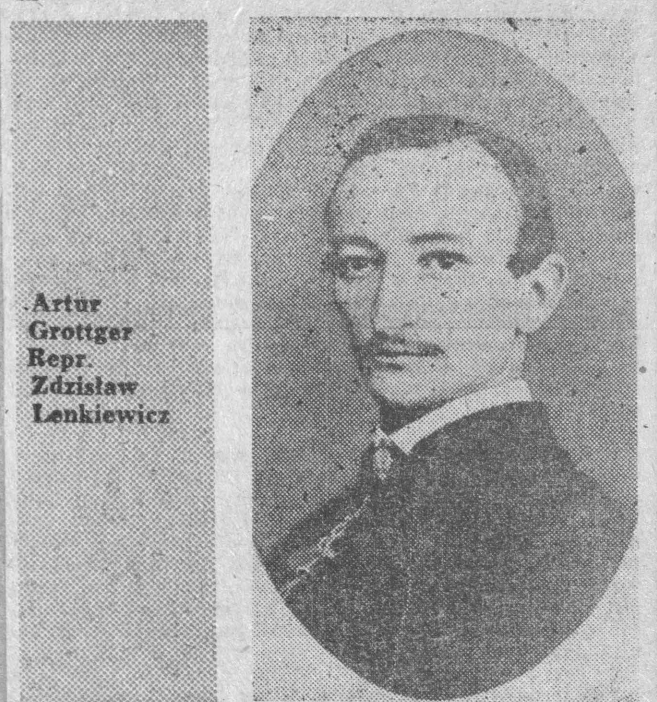
Muzyka do tańca robiła na mnie zawsze smutne wrażenie, słuchając jej na placu mi się zbierało; bał nie przedstawiał się dla mnie zbyt ponętnie. Gdy wtem, wśród rozmowy, Polówna powiadała: wesoło!

— Ale! Wiele, parę dni temu był u ojca Grottger, jest właśnie we Lwowie, taki zawsze skromny; wyobraźcie sobie, przy powitaniu, jak zwykle, pocałował ojca w rękę, a siedział przed nim na brzoisku krzesła.

Zajęło mnie to niesłychanie. Grottger, ten Grottger, którego „Polonia” i „Warszawa” tak podziwiała na wystawach, jest we Lwowie. Żeby go to można zobaczyć choć na ulicy. Zadręczałam Polówną że go już znała. Do dziś mam do niej sympatię za to, że jej usta pierwsze do mnie wymówiły.

— Grottger we Lwowie.

W tygodniu później przyszli do nas komitetowi z zaproszeniem na bal Towarzystwa Strzeleckiego. Wypadkiem był wtedy z wizytą rzadki u nas gość — mój ojciec. Ofiarował mi strój, który wybrał dla mnie. Suknia biała, gazowa, w rzućce czarnych aksamińnych list, ze złotymi żyłkami. Ładne to było. Mam jeszcze kawałek tej sukni na pamiątkę. Bał miał się odbyć trzynastego stycznia. Dość było czasu by suknię dać zrobić i przygotować wszystko. Przez cały tydzień przychodzili znajomi namawiać tańce.



Artur Grottger

Repr.

Zdzisław

Lenkiewicz

Nadszedł dzień dość dla mnie obojętny. Ale wieczorem, kiedy ubrana w suknię podpiętą różami, we wnętrzu z pachnących różanek, popatrzyłam do zwierciadła, ucieszyłam się, że strój ten tak pięknie podnosi i upodobał mi przypatrzywałam się jak to ładnie w sukni do gorsu, z obnażonymi ramionami. Rysowałam nieźle, kochałam gorąco sztukę i patrzyłam na siebie jak na dobry model.

Po dziesiątej zjechał po nas powóz. Aleksander Czaykowski, w ostatniej chwili, zamówił jeszcze ostatni taniec jaki miałam do rozdania. Od wejścia na salę porwano mnie w taniec wirtuoz, potem do mazura, po którym, gdy koło mekła usiadłam, Róża, w chwilę po mnie nadbiegła, przedstawiła mi:

— Pan Grottger.

Popatrzyłam w górę. Stała tuż nade mną wysoka postać w polskim stroju, mocno nachylona i wpatrująca mi się w twarz z dziwnym jakimś zachwytem.

Przebiegała pania znalazłam. Nareszcie, jak to szczęśliwie. Ja pania dawno już znam. Widziałam ją, w jesieni... Od tej chwili szukam niestannie. Tak długo. Boże mój, jaka pani śliczna. Ale taka młodzieńcza! Dziecko prawie. Wydało mi się, że pani starsza, jaka pani dumna i poważna wyglądała. Teraz od godziny patrzę jak pani tańczy.

Podalałam mi rękę a potem milcząco słuchałam tych słów, rzucających z gorączkowym pośpiechem. Inaczej go sobie wyobrażałam. Niezbyt mi się podobała ta obecność. Po tem myślałam gdzie mnie widzieć mógł? To pewno tylko frazes dla łatwiejszego zawarcia znajomości. Co do mnie pewna byłam że go nigdy nie widziałam. Nie byłabym zapomniała tej dantejskiej twarzy.

— Wiesz to pani, twórcza Poloni, Warszawy? — przerwałam.

— I cóż, czy tak powinienem wyglądać? — zapytał.

— Może być. Ale mówić powinien pan inaczej — odparłam.

Rozesłał się wesoło.

— O jak pani sroga. Ja tak serdecznie ucieszyłam się odszukaniu zgrub, zapomniałam że pani obcy. Mówiłam tak, jakby i pani pamiętała mnie słuszenie. Ale ma pani słuszenie, co to za zarumianłość z mej strony. Wstydzie się doprawdy...

Przyśledł mój danser do pierwszego kadryla.

— Czy pani ma jeszcze jaki taniec? Naturalnie że nie. Będę się przypatrywał, a podczas mazura będę stać bardzo blisko, może się pani złutuje. Ale do pierwszego walca, proszę pierwszy, dobrze? Proszę przyrzec — dodał składając dłoń.

— Dobrze — i odeszłam.

Podczas kadryla rozmyślałam nad tem poznaniem. Bardzo się niem cieszyłam. Może też odwieść nas kiedy? Może będzie mówił o sztuce, bo przecie nie można przypuścić, żeby tylko w podobny sposób umiał rozmawiać, jak przed chwilą. Może pokaże jaką swoją pracę? Jak jak się zachęcamy jego utworami! Ale czemu on taki rozprężony, kiedy dramata które odczuwa i tworzy? Może to dziś tylko, może tylko że mna, bom mu się pół-dzieckiem wydała? To dobrze, że jeszcze pół-dziecko. Będzie miał nie spodziankę gdy pozna, że mimo to, wcale rozumna osoba.

Po kadrylu, ów walc, do którego zaraz się stawiał. Szalenie lubił tańce. Doskonale tańczył!

— Mój Boże, pani nadto pełna! Wszyscy podziwiają, wpatrują się, głupieją.

— Czy i pan?

Ciąg dalszy na str. 9

W wydanej przed ponad stu laty „Encyklopedii Powszechnej” Orgelbranda pod hasłem „Koleś” czytamy: „Uroczystość wspólna wszystkich Słowianom i Litwinom, na cześć noworodzonego się słońca, obchodzona w końcu grudnia, kiedy pierwotnie zaczynał się nowy rok. Obecnie przeniesiona na uroczystość chrześcijańską Bożego Narodzenia. Koleś zaczyna się 25 grudnia i trwa do Trzech Króli, miejscami zaś, jak zwłaszcza w Małorossji, do N.M. Gromicznicy. Święto to obchodzili i Bizantyni pod nazwą Kalanda i od nich prawdopodobnie przeszła nazwa do Słowian.

Dziś pod nazwą koleśa rozumieją się pieśni śpiewane w wyżej znaczonej czasie oraz rozdawane dary. Ślady pogańskiego obrzędu zachowały się w przebieganiu za różne zwierzęta jak tura, wilka, niedźwiedzia i żurawia. Śpiewano obecnie pod nazwą koleśa pieśni, najstarszych zbiorów których wydał Mioduszeński, Kraków 1843, są chrześcijańskie pochodzenia i odnoszą się do urodzenia Jezusa. Zbiory pieśni ludowych mieszczą koleśy, zwykle bardzo skazone, przechowywane z czasów pogańskich.

W czasach, w których Orgelbrand wydawał swoją wielotomową encyklopedię w koleśach pojawiały się już bardzo współczesne, świeckie wstępy.

W styczniowe, powstańcze noce 1863 roku podkładano pod melodie najpopularniejszych pasterkowych melodii aktualności o pociągach z oddziałami wroga, o powstawaniu partyzanckich „partii”. Mówili o świątecznych śpiewach pamiętnikarzy, niestety nie zapisując „wiarusowych koleś”. Pamiętano jednak że jeszcze kilkadziesiąt lat później, w 1902 roku rozrzucono w Łodzi, w okresie Bożego Narodzenia, ulotki z drukowaną koleśa zaczynającą się od słów: „Idzie wiarus stary do ludzi w koleśie, będzie nowe latko i dobrze nam będzie”. Była to przeróbka pieśni „leśnych ludzi” z 1863 roku.

Gdy wolność stała u progu... śpiewano w legionowych okopach w Świata 1915 roku:

Podnieś rączkę Boże dziecko,
Pobłogosław naszych w polu.
Tych, co walczą i zwyciężają
I tych, co konają w bólu
Oto kwiat polskiej młodzieży,
Dziś do walki krwawej bieży...

Jeszcze przed I wojną światową, a także po jej zakończeniu śpiewano w dawnej

We wróżbach wigilijnych i obyczajach związanych ze Świętami Bożego Narodzenia, dużo uwagi poświęcano zwierzętom i ptakom. Uważano, że one dobre duchy poszczególnych rodów i były symbolem ich najlepszych cech. Zwierzęta dawały też człowiekowi miłość, oraz skóre i zgodnie ze starymi zwyczajami powinny być dobrze traktowane, chociażby po to, aby mogły odradzać się do nowego życia i ponownie służyć człowiekowi. Stąd też z tradycji wigilijnej wzięliście wyeliminowano spożywanie mięsa uważając, że człowiek i zwierzę stanowią jedną rodzinę.

— Motyw stałenki — pisze Bożena Krzywicka (STARE I NOWE OBYCZAJE) — a więc narodzin Syna Bożego na śnie, obecność zwierząt, które swym chuchaniem ogrzewały dzieciętko — miały stanowić wytłumaczenie magii i wróżb związanych z wigilijną.

W wigilijnych wierzeniach i zabiegach magicznych Podlasia oraz wschodniej Małopolski — podobnie zresztą jak w innych, rejonach kraju — dominowały zwierzęta domowe, a wśród nich poczesne miejsce zajmowała krowa. — O obfitości mleka w nadchodzącym roku — pisze Stanisław Dworakowski (Kultura społeczna ludu wiejskiego na Mazowszu nad Narwią) — wróżono na podstawie obserwacji nieba: „jak je wyraża Mleczna Droga — mówiono w okolicach Bruszewa, Dworak, Brzozowa czy Klukowa — rok będzie mleczny...”. Z wyglądu powstać przybyszy. W niektórych wsiach Podlasia praktykowano był i taki oto zwyczaj: gdy kobieta przyszła w wigilię do sąsiadki, to sama bez wzwania siadała i „koktala jak kółtucha, żeby kury wesołe na wiosnę koktali”, albo jak gęś gęgała, aby gęsi wcześniej wysiadywały gąsienice.

Na Pomorzu gospodyni przed wigilią bacznie uważała, aby na stole postawić od razu wszystkie potrawy i w czasie wigierzy już nie wstawać od stołu, gdyż w przeciwnym razie kury nie siedziałyby na jajkach.

Domowym ptactwem i zwierzętami posługiwano się także przy wróżbach matrymonialnych. Na terenie prawie całej Polski wykorzystywano był do tego celu pies lub kogut. Po zakończeniu wigierzy, dziewczęta

Przez Francuzów nazywane są „lysymi myszami”, przez Rosjan i Niemców „latającymi myszami”, u nas polskie zwane są gackami, gacypyrkami i niedopyrkami. Mimo, że niewiele miały wspólnego z myszami (które należały do kręgu gryzoni), zadziwiająca jest zgodność określeń, jakie zdobyły sobie nietoperze wśród różnych narodów.

Jest to jedyny rząd ssaków, który charakteryzuje się aktywną zdolnością do lotu. Umożliwia im to obecność cienkiej błony lotnej rozpiętej głównie na ramieniu, przedramieniu i wydłużonych palcach kończyny przedniej. Ten fenomen w świecie ssaków niezwykle trafnie oddaje łacińska nazwa rządu: Chiroptera — Rekoskrzydło.

Menu nietoperzy jest bardzo urozmaicone. Polują na owady, pajęczaki i drobne kregowce: ryby, płazy, gady, ptaki i ssaki. Część nietoperzy jest owocowżerna, inne odżywiają się kwiatami, niekiedy zbierają z kwiatów pyłek i nektar. W ten sposób zapylają kwiaty rozwijające nocą. Zjawisko to znane jest pod nazwą chiropterofilia. Przykładem rośliny zapylanej wyłącznie przez nietoperze jest baobab.

Natomiast krwią ssaków i ptaków odżywiają się wampirówate. Przedstawicielem tej niewielkiej, bo liczącej tylko 3 gatunki rodziny, żyją w Południowej i Środkowej Ameryce, ku północy dochodząc do granicy Meksyku i USA. Jako potencjalni nosiciele wszelkich wampirów są niebezpieczne zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt. W Ameryce Łacińskiej w latach 1925-1966 w wyniku pokasania przez wściekłe wampiry zmarły 152 osoby. Ponadto wampiry wykrywają swoje ofiary (głównie krowy, konie, świnie, drób, owce i psy), powodując ich osłabienie, a nawet śmierć. Stwierdzono, że jeden osobnik wypija rocznie ok. 7 l krwi.

Tym bardziej należy podkreślić, że wszystkie, nasze nietoperze są pożyteczne i chronione. Ich pokarm stanowią najczęściej komary, jętki, pajęzki, szaszczki i nocne motyle. Na połowę większość nietoperzy wylatuje z zimierzucha i noca. Są doskonałymi lotnikami i nawet w zupełnych ciemnościach nigdy nie tracą orientacji. Ptaki nocne (np. sowy) w takich warunkach nigdy nie fruwają, a zmuszone do tego robiają się o przeszkody, których nie potrafią ominąć. Do końca XVIII w. tę niezwykłą umiejętność tłumaczono bardzo sprawnym wzrokiem nietoperzy. W 1793 r. włoski fizjolog L. Spallanzani

obalił to przypuszczenie. W wyniku przemysłowych doświadczeń ustalił, że osobniki oślepienie równie dobrze dają sobie radę ze zdobyciem pokarmu jak osobniki zdrowe. Ponadto Spallanzani stwierdził, że jedynie nietoperze z nie zatłaknymi uszami i wolnym otworem ustnym nie mają trudności z lotem w zupełnych ciemnościach. Dopiero w 1941 r. dwaj uczeni amerykańscy D. R. Griffin i R. Galambos wyjaśnili tę tajemnicę. Okazało się, że orientacja przestrzenna u nietoperzy polega na echolokacji.

Obalili to przypuszczenie. W wyniku przemysłowych doświadczeń ustalił, że osobniki oślepienie równie dobrze dają sobie radę ze zdobyciem pokarmu jak osobniki zdrowe. Ponadto Spallanzani stwierdził, że jedynie nietoperze z nie zatłaknymi uszami i wolnym otworem ustnym nie mają trudności z lotem w zupełnych ciemnościach.

Dopiero w 1941 r. dwaj uczeni amerykańscy D. R. Griffin i R. Galambos wyjaśnili tę tajemnicę. Okazało się, że orientacja przestrzenna u nietoperzy polega na echolokacji.

Wśród nocnej ciszy

O KOŁEDACH — NIE TYLKO

Z PASTERKOWEJ NOCY

„Kongresówce” „Koleś robotnika polskiego” na melodie „W złości leży”: Słowa do niej ułożyła Maria Markowska, lewicowa działaczka i poetka:

Z wiezień cieśni — z Łodzi; z Wrześni.
Z cytańki wygnania.
Których ręka, pruska ręka,
Lub knut carski pogania
Do nas bracia przybywa
I koleśa zaśpiewa
Ludów zmartwychwstań!

W odrodzonej Rzeczypospolitej, młodzież wojskowa (nie tylko) chętnie śpiewała pełną humoru koleśa na melodie „W dzień Bożego Narodzenia”.

Brzmia koleśa dzielnej wiary.
Basem huczy rocznik stary,
A rekruty jak koguty.
Wyciągają cienie nuty.
Cienie nuty.

Tradycje koleśa żołnierskiej i politycznej, koleśa nadziei odżyły najpełniej w okresie okupacji. Śpiewano ją w „mieście nieujarzmionym” w oddziałach partyzanckich, w wojsku polskim na obczyźnie, w obozach...

W Ozorkowie kobiety-szwaczki ułożyły koleśa, w której opisały autentyczne wydarzenia. Ze skrawków skórek króliczych i baranich szły one dywan, wysyłane na front. Przed Świętami dostały dwa tygodnie wolnego, ale każda musiała pozyskać 10 kg szcinków. W dzień zajmowały się domem, w nocy szyły:

Istotnym składnikiem chłopskiego pożywienia były i są, w dalszym ciągu, jaja oraz drożdże. Stosowane w wigilię zabiegi maseczne miały i w tym przypadku zapewnić obfitość jaj, oraz dużą plodność białca. Podobnie jak przy krowach, dewotowo stan nieba: „jak niebo się wyskryzi dookoła, a Mlecznej Drogi nima, to rok dobry na drob — kury będą się dobrze nesiły”.

Dość powszechny na Białostocczyźnie był zwyczaj zmuszania do śladania przybyłego do mieszkanka gościa „zeby kury i gęsi do-

Idzie wilcysko do pana

O PTAKACH I ZWIERZĘTACH W ŚWIĄTECZNYCH OBYCZAJACH

brze siedzieli na jajkach”. Ociągającego się — stwierdza Stanisław Dworakowski — niby to żartując, przemoca niemal sadzano na stołku, po czym „gospodyni zadowolona, że zapewniał sobie w ten sposób pomyślny wygląd „kurczaków” lub „gasiaków” pozwalała powstać przybyszy. W niektórych wsiach Podlasia praktykowano był i taki oto zwyczaj: gdy kobieta przyszła w wigilię do sąsiadki, to sama bez wzwania siadała i „koktala jak kółtucha, żeby kury wesołe na wiosnę koktali”, albo jak gęś gęgała, aby gęsi wcześniej wysiadywały gąsienice.

Na Pomorzu gospodyni przed wigilią bacznie uważała, aby na stole postawić od razu wszystkie potrawy i w czasie wigierzy już nie wstawać od stołu, gdyż w przeciwnym razie kury nie siedziałyby na jajkach.

Domowym ptactwem i zwierzętami posługiwano się także przy wróżbach matrymonialnych. Na terenie prawie całej Polski wykorzystywano był do tego celu pies lub kogut. Po zakończeniu wigierzy, dziewczęta

Wśród nocnej ciszy, gdy już wszyscy śpią.
My, robotnice, kończymy pracę swą
I tak bardzo się spieszymy,
Bo dywany skończyć chcemy,
By w dzień wolnym być.

Pracowaliśmy prawie pół roku.
Tak czekaliśmy tego urlopu.
A taki nam urlop dał.
Ze ze śmieci żyć kazali
Po dziesięć kilo...

Michał Basa — „Mściciel”, żołnierz zgrupowania Armii Krajowej „Porętego” na Kielecczyźnie, do melodii „Bóg się rodzi” układał takie oto słowa:

Bóg się rodzi, moc truchleje.
Wszystko w niemyj ciszy stawa.
W ten dzień siłę i nadzieję
Daje ducha polska sprawa.

Niech się rodzi Polska nowa.
Niechaj z rak spadną kajdany.
Wroci wolność, życie słowa.
Błogi spokój ludziom dany...

Cytowane fragmenty koleśa związanych nie tylko z tradycją chrześcijańską, ale przede wszystkim z życiem jakie było, pisali prości — zazwyczaj — ludzie. Nie czuli się oni, i nie byli poetami. Pisali, po prostu, o sobie i swoich koleśach, zawsze z nadzieją. Jak to w koleśie.

(KAR)

ANNA BIELECKA



Fot. CAP

Pały się owce pod borem.
Przybieżeli wilczek i ferwerem.
Rozproszył owieczki, a one do ucieczki,
Za Panem...

Na Podlasu śpiewano też i taka koleśa:

Idzie wilcysko do Pana
niesie na sobie barana,
prosi o pokute,
a Pan każe dać mu w d.e.
oj, baty

W konfrontacji z owieczkami wilk zawsze przetrwał, co tłumaczono szczególnymi względami owieczek u Pana Jezusa, a także walecznością samych pasterzy:

Kuba... jak bije tak bije.
Od guza srogiego i Kubu wielkiego
Wilk wie, wilk wie.

W zapustnych maskarach bardzo popularna była kosa, którą tłumaczono z dobrego urodzajem i tak o niej śpiewano:

gdzie kosa stąpnie nogą, tam żyto wyrosnie
kono,
gdzie uderzy rogiem, tam żyto wyrosnie
stogiem.

W świątecznych zwyczajach okresu zimowego występowało też szereg innych zwyczajów i ptaków. Łukasza Golebiowski opisując wigilię w 1830 roku pisał: „żelazo pluzne pod stół kładziono, żeby krety roli nie psuły”. Kretownicy przebiegali się często za dzikie zwierzęta: wilki, niedźwiedzie, turw. Przebiegano się nawet za bociany i chodzą z koleśa śpiewano:

Zając siedzą z krolkami,
bebnął swoimi nóżkami,
Wróble zaś gwarzyły,
gdy sobie podpiły.

[my gwarzyły podczas świąt wesoło, byle w dobrym zdrowiu, samopoczuciu i z umiarem.

SYLWERIUSZ DWORAKOWSKI

wek letnich (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Od 1916 r. (w Polsce od 1936 r.) nietoperze obraczkują się. Uzyskane tą drogą dane pozwoliły lepiej poznać ich życie i zwyczaje. Jedne z nich okazały się gatunkami osiadłymi.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy długość ciąży jest zmienna i zależy od temperatury, kolonie rozrodcze samice tworzone są w miejscach bardzo ciepłych (o temperaturze ok. 50 stopni C) i mało przewiewnych. Samce w tym czasie żyją samotnie lub w niewielkich koloniach.

Wieloletnie badania (strychy, dziuple, piase budki). Ponieważ u nietoperzy

Kiedy pierwsza wojna światowa wygasła na wszystkich frontach, do Suwałk zaczęły sięgać polskie Wojska Polskie. Odczuwano dowództwo doceniając strategiczne położenie Suwałk, rozlokowało tam duży garnizon. Koszar, zbudowanych za caratu, było wiele, a więc poszczególne pułki miały łatwiej do zakwaterowania.

W koszarach przy ul. Sejneńskiej stała 3 pułk szwoleżerów mazowieckich imienia pułkownika Jana Kozietulskiego. Koszary przy ul. Kalwaryjskiej zajmował 2 pułk ułanów grochowskich imienia generała Józefa Dwernickiego. Natomiast liczne koszary przy ulicy Augustowskiej zajęły: 41 pułk piechoty imienia marszałka Piłsudskiego, 4 dywizjon artylerii konnej, 29 pułk artylerii lekkiej, a koszary przy ul. Filipowskiej obsadził później 29 batalion Korpusu Ochrony Pogranicza. Dodatkowo w pobliżu Augustowa zakwaterował się 1 pułk ułanów kresowych imienia Henryka Mościckiego. Wszystkie te pułki wchodziły w skład Suwalskiej Brygady Kawalerii.

Małe, przygraniczne Suwałki tętniły wojskiem, które nadawało ton życiu miasta. Pieniądze restauracji zapelniano się wieczorami bywalcami w mundurach. W licznych kasyjach odbywały się często bale. Na placach ćwiczeń urządzano pokazy musztry i sztuki kawalerskiej, które wzbudzały duże zainteresowanie. Nigdy nie było w Suwałkach „nadprodukcji” starych panien. Co dnia miasto rozbrzmiewało śpiewem szwadronów kawalerii i kompanii piechoty ćwiczących na koszarowych placach, lub ciągniętych na wspólny poligon ćwiczebny pod wiatr Płocino nad Wigrami.

Po latach niewoli wojsko było dumą mieszkańców Suwałk, dawało poczucie bezpieczeństwa, a więc interesowano się życiem garnizonu. I było to zainteresowanie kłliwe, patriotyczne, jakie zawsze rodzący żyli dla polskiego munduru. Lecz zarazem wielki garnizon suwalski budził inne zainteresowanie, już bynajmniej nie kłliwe i patriotyczne, polskich sąsiadów.

Po przegranej wojnie, po upadku cesarskich Niemiec i powstaniu Republiki Weimarskiej, czy oficerów Reichswehry przyglądali się bacznie i złowrogo na szybko krzepnącą i rosnącą w siłę Armię Polską. Pomimo, że Reichswehra miała w traktacie wersalskim określone zadania czysto wewnętrzne, ale było to tylko pobożne życzenie twórców tego traktatu. Duch zabójczy pruskiego militarysty nie został złamany. Dobrej i dobrze wyszkolona kadra oficerska, widziawszy Reichswehrze załazek przyszłej potężnej armii niemieckiej, by ona w sprzyjających warunkach mogła wciągnąć odwet za haniebną traktat wersalski; w tym również i na Polsce.

Wśród tej doborowej kadry oficerskiej, liczne grono stanowiły oficerowie wywiadu, wychowani w twardej szkole szpiegowskiej pułkownika Waltera Nicolai, twórcy i szefa nowoczesnego wywiadu kaiserowskiej armii. Oni to od początku istnienia Reichswehry utworzyli ściśle zakaspierowany departament wywiadowczy, który przeszedł do historii pod nazwą Abwehry. Jej liczne i dobrze zakaspierowane placówki, lokowały się w pobliżu polskiej granicy, rozsławiając niewidzialną, szpiegowską sieć.

Odrodzone państwo polskie było młode, nową była jego armia, a więc wszystkie poczyny szpiegowskie w Polsce, Niemcy musieli zaczynać od podstaw. Każda informacja wywiadowcza z terenu Polski była przydatna Niemcom. A interesowano się wszystkim: wojskiem, polityką, gospodarką, jak też ludźmi, którzy mogli w jakiś sposób przydać się niemieckim zamiarom szpiegowskim. I każdy środek, który usiłował cel wywiadowczy Abwehry — był tu dobry. A tych środków w arsenał szpiegowski, doświadczeni, starzy oficerowie wywiadu niemieckiego, mieli wiele.

Z Suwalszczyzną graniczyły Prusy Wschodnie, dawny bastion krzyżacki, kraina, gdzie przez wieki legły się zabójcze plany wobec słowiańszczyzny Prus Wschodnich, jak ciężka gradowa chmura, wisiała przed II wojną światową nad północną Polską. Grad z tej chmury nigdy nie spadł, lecz we wrześniu 1939 roku z tej krainy lunął na Polskę grad pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych. Z jej lasów nadgranicznych i dróg pięknie ukrytych w szpalach starodrzewia, ruszyły wówczas na podobieństwo naszej żelaznej kolumny Krzyżaków XX wieku, zbrojnych w najnowsze środki niszczenia i zabijania. Lecz zanim nadszedł ten dzień — „Kiedy przyszedł zbłądził nasz dom...” — zaniem w grzmocie dział i ryku samolotów II wojny światowej, przez całe dwudziestolecie międzywojenne trwała z Prus Wschodnich niewidzialna ofensywa szpiegowska na północną Polskę, by rozszyfrować nasze tajemnice obronne i dostarczyć materiały potrzebne do przygotowania agresji.

Silny garnizon suwalski rozlokowany tak blisko granicy Prus Wschodnich, budził żywe zainteresowanie dowództwa Reichswehry, a potem Wehrmachtu. Od początku lat dwudziestych oficerowie wywiadu niemieckiego w Prusach Wschodnich, nie spuszczali oczu z Suwalskiej Brygady Kawalerii. Lecz do 1939 roku wyniki pracy szpiegowskiej na Suwalszczyźnie były raczej nikłe.

W Królewcu, ówczesnej stolicy Prus Wschodnich, przy ulicy Hindenburga wznosił się gmach o ponurej, pruskiej architekturze. Budynek ten był pilnie strzeżony i do niego nie mieli tylko nieliczni wtajemniczeni. Tu była przed wojną siedziba Abwehry. W urzędowym żargonie zwano te placówki „Aste-I”. Na przełomie lat trzydziestych kierował nim kapitan Fritz Wollman. W jego sztabie pracowali wówczas doświadczeni oficerowie wywiadu: Hans Horaczek, Siegfried Cartelieri, Oskar Reile, Heinrich Rauch, Wolfgang Rudolf i wielu innych. „Aste-I” w Królewcu była kuznią kadry szpiegowskiej i przyszłego Wehrmachtu. Jej wieloletni oficerowie doszuli się stopni generalskich i byli znanymi dowódcami na różnych frontach II wojny światowej.

Inspekcja

Kapitan Wollman szef „Aste-I” w Królewcu oczekiwał zapowiedzianej wizyty. Jego oficer Oskar Reile wyjechał do portu, dokąd statkiem pasażerskim miał przybyć zapowiedziany gość. I oto cicho otworzyły się grube, dwiokształtne drzwi, do gabinetu wszedł wysoki, tęż płuksownik o pełnej twarzy i przenikliwych oczach, a za nim weszło dwóch innych oficerów. Wollman wstał z biurka i zameldował się służbowo przybyłemu.

— Herr oberst, hauptmann Wollman melduje się na posterunku!

— Ja! Guten morgen herr hauptmann. Cieszę się, że pana widzę w tak świetnej formie — odparł przybyły i podał mu rękę. — Poznajcie się panowie! — skinął na przybyłych z nim oficerów — to jest kapitan Wollman, szef „Aste-I” Koenigsberg, a to kapitan Oskar Schimmel i oberleutnant Alfred Falkenbusch, oficerowie naszej służby a od dziś pan podwładni, herr hauptmann.

Wymieniono uściski dłoni i zajęto miejsca w głębokich, skórzanych fotelach. Wollman zaczął podać kawę. Wypita przybyłego pułkownika o podróz, które ten, w asyście oficerów, odbył ze Szczecina do Królewca.

Pułkownik Hans Piekenbrock — on to był bowiem — szef wydziału wywiadowczego centrali Abwehry w Berlinie, pił małymi łykami kawę, rozmawiając z Wollmanem o sprawach blahych, nie mających na razie nic wspólnego z ich pracą. Gdy wypili, odstawili filiżankę i rzekli do gospodarza:

— Kapitanie Wollman, sztab nasz wysoko ocenia pańską pracę i jej wyniki. Ale, jako stary wywiadowca, wie pan, że w naszej pracy nigdy nie jest ich za dużo.

— Rozumiem Herr Oberst — Wollman skłonił głowę.

— Według naszej oceny, uwadze pańskiej placówki wywiadowczej uchodziły dotychczas pewne ważne zagadnienia z Polski, ściślej z jej przygranicznych obszarów. Pan pozwoli mapę sztabową pogranicza Prus Wschodnich i północnej Polski.

Wollman rozłożył na stole płachtę mapy, na którą pułkownik Piekenbrock patrzył chwilę, a potem zwrócił się do Wollmana.

ALEKSANDER OMILJANOWICZ

Tajemnicze gniazdo

Niniejsza opowieść jest częścią książki znanego białostockiego pisarza Aleksandra Omiljanowicza, pt. „TAJEMNICZE GNIAZDO”, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej. Dziś drukujemy pierwszy jej fragment. Za tydzień, w numerze noworocznym ciąg dalszy.

— Wysłank wywiadowczy pańskiej placówki szedł dotychczas, zresztą zgodnie z naszymi rozkazami, na rozpracowanie polskiego Pomorza, rejonu Bydgoszczy, Torunia, Grudziądza. Ale silne garnizony, które przeciwnik rozlokował wzdłuż granicy Prus Wschodnich, zmuszają do rozszerzenia naszych zainteresowań wywiadowczych. Proszę tylko spojrzeć — wskazał palcem na mapę — Grodno bardzo silny garnizon, do tego siedziba Dowództwa Okręgu Korpusu numer trzy. Suwałki — cała Brygada, Augustów — pułk, Grajewo — pułk, Osowiec i Łomża, stare twierdze carskie zajęte obecnie przez polskie pułki. Dochodzi jeszcze pułk w Ostrołęce. Wszystko to w pobliżu granicy Prus Wschodnich. A nasza wiedza operacyjna o tych polskich garnizonach, jest znikoma. Co prawda doktor Löser szef placówki Abwehry w Olsztynie ma fragmentaryczne dane, o niektórych tych garnizonach, lecz są one bardzo ogólnikowe.

— Rozumiem Herr Oberst, ale... — starał się wtrącić Wollman, lecz Piekenbrock przerwał mu łagodnie.

— Pan niepotrzebnie chce się usprawiedliwiać. Dotychczasowa szespółność pańskiej kadry wywiadowczej i przydział środków, mówią same za siebie. Od dziś ulega to zmianie, bo nowe czasy i wydarzenia tego wymagają od nas. Decyzją naszego sztabu zacznie działać w Prusach Wschodnich nowa placówka wywiadowcza, równa co do wielkości gdańskiej. Oto szef tej placówki — wskazał na kapitana Schimela, który służbiście się wyprężył. — Doświadczony, stary pracownik naszej służby, natomiast oberleutnant Falkenbusch będzie jego zastępcą — wskazał na drugiego oficera przybyłego z nim. Które z miast przygranicznych proponuje pan na siedzibę nowej Abwehreneinstelle? — pułkownik spojrzał na Wollmana.

Ten patrząc na mapę zastanowił się chwilę, a potem odparł:

— Panie pułkowniku, jeżeli ja mam decydować, to proponuję Lötzen (Giżycko). Uwaga! wszystkie nazwy dawne niemieckie w Prusach Wschodnich, są w niniejszej opowieści nazywane po polsku.)

— Dlaczego? — spytał Piekenbrock.

— Proszę spojrzeć na położenie tego miasta. Do granicy polskiej zaledwie ponad pięćdziesiąt kilometrów. Do tego stacjonuje tam silny garnizon, jest twierdza Boyen. W pobliżu są duże garnizony w Węgorzewie, Goldapi, Kętrzynie, Orzeszku, gdzie mamy największy poligon wojskowy. Do tego Elk z siedzibą dowództwa artylerii na Prusy Wschodnie. Wszystkie te garnizony leżą wachlarzowo w pobliżu Giżycka. A więc nowa placówka będzie zabezpieczać kontrwywiadowczo, do tego działać wywiadowczo na kierunku Suwałki, Grodno, Osowiec, Łomża, Ostrołęka.

— Logicznie pan to uzasadnił! — pochwałił pułkownik Piekenbrock.

— A więc nową placówkę wywiadowczą ułożymy w Giżycku. Będzie pan, kapitanie Schimmel, pracował w pięknym kurorcie. Jutro wyjedziemy wspólnie do wszystkich tamtejszych garnizonów. Inspekcja ich zajęć nam sporo czasu. Proszę, kapitanie Wollman, zlecić komus zakupienie w Giżycku do naszych celów odpowiedniego budynku.

— Jawohl, Herr Oberst, to szybko załatwią moi ludzie.

— Jak?

— To załatwi firma Max Bengs import-eksport w Królewcu, gdzie pracują nasi agenci.

— Dobrze!

Narada potoczyła się dalej. Analizowano skąpe jak na razie materiały wywiadowcze o suwalskim i grodzieńskim garnizonie i o innych pułkach rozmieszczonych wzdłuż północnego pogranicza Polski. Pułkownik Piekenbrock przedstawił plan długofalowej ofensywy szpiegowskiej przeciwko tym garnizonom. Następnie poinformował, że do no-

wej placówki Abwehry w Giżycku zostali przez centralę w Berlinie przydzieleni oficerowie wywiadu: leutnant Erwin Spitznpeff znanym pod pseudonimem „Vogel”, Gustav Berg, Karl Peters, Hugo Rasche i wywiadowca Bruno Lienger zwany „First”. W tych dniach mieli oni zgłosić się w nowym miejscu pracy, czyli w Giżycku.

Johan Butz, agent „Aste-I” pracujący w firmie handlowej Maxa Bengsa w Królewcu, bawił w Giżycku kilka dni wypełniając polecenia kapitana Wollmana. Budynków na sprzedaż znalazł kilka. Najbardziej odpowiednim okazała się willa stojąca niedaleko dworca kolejowego. Było w niej kilkanaście pokoi, a duży ogród i wysoki mur odgradzał ją od oczu ciekawskich. To był główny obiekt, o który tak chodziło Wollmanowi. Butz wypisał willę w odpowiedni sprzęt biurowy, kilka kas pancernych i dodatkowe telefony. Dwie mniejsze willę kupił na mieszkanie dla oficerów Abwehry.

Tymczasem pułkownik Piekenbrock w asyście Wollmana, Schimela i Falkenbuscha przez tydzień wytywał liczne garnizony w miastach przygranicznych. Konferowali tam z dowódcami jednostek wojskowych i oficerami kontrwywiadu. Piekenbrock interesowało czy poszczególne dowództwa garnizonów stwierdzały penetrację polskiego wywiadu, oraz jak wygląda zabezpieczenie kontrwywiadowcze jednostek woj-

heim — tajne. Szef Abwehry pochylił się nad mapą pogranicza Prus Wschodnich i Suwalszczyzny i rzekł do pułkownika Piekenbrocka.

— Panie pułkowniku, z pańskiego raportu po inspekcji w Prusach Wschodnich, i ze skąpych materiałów, które nadesłała nam „Aste-I” w Królewcu wynika, że te obszary pogranicza Polski są mało rozpracowane wywiadowczo.

— Tak jest, panie szefie. Nasze placówki wywiadu w Prusach Wschodnich nie zdążyły jeszcze rozwinąć należytej działalności. Nie mamy nawet wstępnego rozpoznania operacyjnego obszaru przeciwnika.

Bredow patrząc na mapę zamyslił się chwilę, a potem spytał:

— Ale orientacyjne rozpoznanie ulokowanych tam garnizonów nieprzyjaciela przecież mamy.

— Tak jest! Duży garnizon stacjonuje w Suwałkach i niedalekim Grodnie i o nich mój oddział posiada pewne informacje. Niewiadomą dla nas jest była carska twierdza Osowiec, do tego Łomża. To tu — wskazał na mapie wymienione miejscowości. Bredow powiedział wzrokiem wzdłuż Niemna, Kanalu Augustowskiego, Biebrzy i Nafwi, a potem dłuższy zatrzymał się na wykuszu Suwalszczyzny.

— Co pan proponuje w sensie operacyjnym? — spytał Piekenbrock.

— Potrzebne jest natychmiastowe przedsięwzięcie wywiadowcze, które da nam chociaż ogólny pogląd na siłę garnizonów polskich na przedpolu Prus Wschodnich.

Pułkownik Bredow wyciszył fajkę, nabiał ją tytoniem, przypalił, pyknął kilka razy i rzekł:

— Jakże przedsięwzięcie wywiadowcze chce pan zaproponować?

— Mój oddział zaplanował taką akcję, która pozwoli nam bez trudu, a nawet przy pomocy Polaków, spenetrować interesujące nas tereny operacyjne nad pruską granicą.

— Kto to zrealizuje? — zainteresował się Bredow.

— Uniwersum Film Aktiengesellschaft — nasza sławna UFA — odparł krótko Piekenbrock...

Goście z Berlina

Telefon, który odebrał generał Tadeusz Kasprzycki pierwszy wiceminister spraw wojskowych, nieco go zdumiał. Oto minister Józef Beck poinformował go, że niemieckie ministerstwo spraw zagranicznych prosi, o umożliwienie wytwórni filmowej UFA w Berlinie zrealizować w Polsce film, w którym batalistyczne sceny miałyby odegrać polska kawaleria. Beck prosił generała Kasprzyckiego, by przyjął filmowców z UFA i poszedł im jak najdalej na rękę. Miał to być gest dobrej woli rządu polskiego, a więc sprawa prawie wagi państwowej.

Po tygodniu od tej rozmowy, generał Kasprzycki podejmował z ścią polską gościnnością filmowców z UFA, którzy przybyli do Warszawy. W przyjęciu uczestniczyła aktorka Zofia Kajsersówna, przyjaciółka generała, marząca o wielkiej sławie gwiazdy filmowej. Niemiecki reżyser Carmin Gallone i Alfred Greven szef produkcji UFA, byli zachwyceni przyjęciem u generała Kasprzyckiego. Wyłuszczyli swoją prośbę. Otóż pragną zrealizować w Polsce film antybolshewicki. Do tego potrzebują odpowiednich plenerów i pułków sławnej polskiej kawalerii. Tereny, które odpowiadają założeniom scenariusza, to Suwalszczyzna, którą mieli znać z opisu i zdjęć. Generał Kasprzycki nie miał nic przeciwko temu. Poinformował filmowców, że w Suwałkach jest duży garnizon, który stawia do ich dyspozycji i wyda w tej sprawie podwładnym rozkazy. Podpisano odpowiednie dokumenty, filmowcy niemieccy otrzymali gład od generała Kasprzyckiego na realizację filmu w plenerach Suwalszczyzny i z udziałem pułków tamtejszego garnizonu, a szczególnie kawalerii.

Uradowani takim obrotem sprawy, filmowcy UFA wrócili do Berlina. Mogli przystąpić do realizacji zamierzonego filmu. Ale była to rzecz jakby uboczna. Abwehra postawiła przed nimi inne bardzo odpowiedzialne zadanie, o którym nie mówiło się na przyjęciu u generała Kasprzyckiego...

General Czesław Warakiewicz, zwany przez podwładnych „fajeczka”, jako że nigdy nie zostawał się z ulubioną fajką, dowódca Suwalskiej Brygady Kawalerii, otrzymał od generała Kasprzyckiego interesujący list. Przełożony informował go, że w najbliższym czasie przybędzie do Suwałk ekipa filmowców z wytwórni Uniwersum Film Aktiengesellschaft w Berlinie, celem zrealizowania filmu. Do scen batalistycznych będą potrzebować żołnierzy i oficerów suwalskiego garnizonu. General Warakiewicz miał postawić do dyspozycji niemieckich filmowców te pułki swego garnizonu, które sobie wybierają. Dalej była informacja, że w składzie ekipy UFA przybędzie do Suwałk Olga Czechowa, czołowa gwiazda niemieckiego kina, a z nią inni wybitni aktorzy z Berlina. General Kasprzycki przykazał, żeby wszystkie życzenia Niemców spełnić bez zastrzeżeń i okazać im jak najdalejszą pomoc w realizacji zamierzonego filmu, bo tym interesuje się nie tylko Ministerstwo Spraw Wojskowych, lecz i MSZ.

Dowodzą suwalskiego garnizonu wręcz oziolomili ta wiadomość, bo takowych od generała Kasprzyckiego nie otrzymywali dotychczas. Oto w zapadłej, kresowej miejscinie, w jego dalekim garnizonie, będzie realizowany film z Olgą Czechową i innymi gwiazdami ekranu. Tego jeszcze tu nie było. A więc jego oficerowie i pułki będą mieli okazję zblasknąć przed kamerami. Ożywi się miasto, będzie wiele pretekstów do bał, rautów, zabaw.

Otrzymała wiadomość generał Warakiewicz podzielił się zaraz z oficerami sztabu. Wkrótce wieść o niezwykłym wydarzeniu, które miało nawiązać Suwałki, szybko obiegła najpierw cały garnizon, a potem kawalerię i lokale.

Wszystkie sprawy zeszły na dalszy plan. Jedynym tematem rozmów, byli filmowcy z Berlina i realizacja filmu w Suwałkach. Panie i panowie obiegali zakłady fryzjerskie, manicurzystki i krawców. Ileż było cichych marzeń i westchnień. A może do kogoś uśmiechnie się los i filmowcy zaangażują do filmu...? Garnizon i miasto w podnieceniu oczekiwało niezwykłych gości.

DIONIZY SIDORSKI

Może przebacza nam duchy

Ciąg dalszy ze str. 8

— I ja, a jakże.
— Przeszliśmy, już dosyć. I usiedliśmy.
— Jak też pani ma na imię?
— Proszę zgadywać.
— Marynia.
— Nie, Wanda.
— Jezus, jak to ślicznie. Pani będzie zbawieniem moim — dodał gwałtownie, z dzwinną namietnością w głosie. Niemilo mi było, że ciągle wpadał w ten ton, z którym nie wiedziałam co robić. Zapytałam więc nad czym obecnie pracuję.

— O, różne drobne prace. Pokażę pani. Ale to bez większego znaczenia. Jak pani sądzi, czy ja potrafię stworzyć coś lepszego niż dotąd, coś, co by mi siałę świata, nie tylko mojej ojczyzny, zjednało?

— Pewnie. Pan taki młody, taki potężny umysłem, gdzieżby nawet pomyśleć o poprzestaniu na dotychczasowych laurach.

— Jak to dobrze, że pani to mówi. Poda mi pani rękę i powie czy dobrą idę drogą? Chce pani? Chce pani? Proszę odpowiedzieć — zawołał gwałtownie.

Wzdrygnęłam się przed tym naleganiem, ale zastanowiłam się, że to przecież nie oświadczy przy pierwszym widzeniu, tylko rozmowa na balu. Odparłam więc uśmiechając się:

— Owszem, jeżeli się pan tylko nie ludzi, że ja bym potrafiła odpowiedzieć takiemu zadaniu.

I opowiadać mi zaczął, że mnie widział w Dębicy, na stacji, gdzieś obiad jadł. Że miałam długie, białe pióro na kapeluszu, że mi w toku krzesło poda, za które nie patrząc wcale, powiedziałam: Dziękuję, że się postanowił zapoznać z nami, ale straciłmyś mu się z oczu, że zaraz wtedy mówił Grabowskiemu: Jeżeli ja odzyskam, to będę zbawioną.

Słuchałam już uważniej, gdyż poznałam, że istotnie widział mnie musiał, kiedyśmy z Karlsbadu wracali z ciotką. Ale tak to wszystko mówił pośpiesznie, tak gwałtownie.



PORTRET WANDY MANNE (W RÓŻACH)

nie i bez ładu, tak przerywał wykrzyknikami nad moją urodę, że na nowo tem byłam zdumiona. Pomimo że mi pochlebiało, że to on właśnie tak się mną zajął, wolałabym gdyby to inaczej wyrażał. Podczas paury w tańcach przedstawiał mi kolegę, Andrzeja Grabowskiego („Grabca” kolegę szkolnego, również malarza). Ten, podchmielony, z krawatem pod uchem, nieprzyjemnie mi się zaprezentował:

— Czy pani ma jeszcze jaki taniec — zapytał ochrypiłym głosem Grabowski.

— Wszystko rodzone — odparłam.

— To proszę do polki.

— I tej mam ośmiętnąć tur zamówionych.

— Ale i z mną musi pani przetańczyć, bo pani kości polami! Taka pani śliczna, że niech mnie wszyscy diabli porwą.

Niezbity byłam zbudowana ta znajomością, że to jednak był znany oryginał, osobistość na którą niepodobna się było obrazać, zgodziłam się na polkę i nabazgrał mi w książeczkę numer dziewiętnasty. W drugiej połowie bału, pomiędzy tańcami, przybiegł od matek, do których przysiadł się Grotgier i szturmem ich serca zdobywał. Frosił aby mu wolno było odwiedzić nas, co on chętnie pozwolił. Dom był u nas otwarty, bywało wiele osób, a że taka młoda była i już w domu ton był taki, że się niko go na równo nie wabiło, więc wolno było przyjmować wielu na rozmowę uprzejmą. Gdy raz nadeszłam, widziałam jak ciotkę w rękę całował i rozpromieniony powiedział mi, że mu wolno przyjdzie do nas.

— To dobrze, zobacz kiedyś tekę pana — mówiłam chrupiąc kandyzowane pomarańcze.

— Kiedyś! — zawołał — Dziś jeszcze.

— Ależ to druga godzina.

— Tak jest. Druga. A potem będzie trzecia, czwarta, piąta, szósta i cały jasny, długi dzień.

Porwano mnie w taniec. Na sali zeszłam się z Różą.

— I cóż podobal ci się Grotgier? Mówił mi, że się szalenie w tobie rozmiłował.

— Boję się go trochę. Jakis taki...

O czwartej wyszliśmy z bału. Rzeczy nasze ktoś znalazł osobno złożony. Były zaraz pod ręką, futra zaś Grotgiera trzeba było szukać. Wyleciał więc za nami tylko w jedwabnym żupanie. Mróz był trzaskający. Doremnie protestowałyśmy. Goleńdź była jak szkło. Gdy konie po nas zajechały, padł koni. Nim go podniesiono trwało chwilę, potem sanie skrzypiąc zajeżdżały. Wsiadłyśmy. Grotgier wskoczył na stopień i w żaden sposób, ani po okrycie wrócić, ani nas samych puścić nie chciał. Noga za nogą szły konie po ślizgawicy. Od Strzelnicy na plac Świętego Ducha dosyć długo trwało. Zajeżdżałmy pod numer czterdziesty drugi. Na nim ubranie wilgotne od tańca zamarzło tak, że trzeszczało przy każdym ruchu.

— Więc to tu — szepnął. — Dobranoc paniom. Ja spać nie będę.

— Do widzenia.

— Do widzenia.

Brama zamknęła się za nami. W parę chwil potem siedziałyśmy na kanapie w obszernym naszym salonie, na którego ścianach, w dużych freskach, przedstawiano była historia Pawła i Virginii. Zdjęliśmy balowe stroje. Suknie, kwiaty, wachlarze, porzucone w nieładzie, a my obie, w ciepłe otulone szale, siedząc z nogami na wygodnej kanapie, rozmawialiśmy o wrażeniach bału. Róża wiele uwag robiła o Grotgierze, oryginalności i dziwnie naiwnej prostocie. Ja, jakoś o nim nie mówiłam. Zanim go gwałtownie opominałam nie miałam osobistej jego.

REPR. ZDZISŁAW LENKIEWICZ

Tak wyglądało poznanie Artura i Wandy. Za tydzień przedstawimy fragment mówiący o dramatycznym poście Grotgiera w Paryżu, gdzie zakochany Artur udał się by zyskać sławę i majątek, którego zdobycie warunkowało zgodę rodziny Monné na ślub dwojga młodych.

DIONIZY SIDORSKI

Sobotnie popołudnie 11 grudnia. Przed praskim ratuszem tłum ludzi, kobiety w eleganckich kreacjach, suknie do ziemi, czasem etole na ramionach. Mężczyźni z białymi kokardkami w klapach z obowiązkową gałązką zielonego mirtu. Białymi wstęgami z mirem dekorowane są samochody. Bez lalek usadowionych na masce — te symbole małżeńskiej dziecięcości spotkać można w Polsce lub Związku Radzieckim. W Czechach panują bardziej klasyczne obyczaje. U nas mirt w klapach marynarek i włosach pań wyszedł już raczej z mody, natomiast w Pradze — jak za dziadków — symbolizuje cnotę i wierność.

Slub cywilny o wiele rzadziej niż u nas bywa dublowany w kościele, więc na uroczystości świecką stawiają się wszyscy zaproszeni goście. Ratuszowa sala ślubów nie zawsze zdoła pomieścić wszystkich. Niektórzy wspinają się aż na parapet lub balustradę schodów. Szczególnie ci najmłodsi, ciekawi, jak przebiega ceremonia zaślubin.

Podobnie jak w Polsce. Wchodzących na salę nowożeńców i gości wita marsz Mendelssohna. Gra go muzyk na organach ustawionych w ratuszowej niszy. On jeden ma zwykłą koszulę we wzorek, natomiast damska część urzędowej obsługi w kreacjach nadzwyczaj uroczystych.

Miejsce siedzących w praskiej sali ślubów niewiele. Tylko dla rodziców nowożeńców i najstarszych gości. Młoda para i świadkowie przez całą ceremonię — dłuższą niż u nas — stoją. Również osoba udzielająca ślubu stała na stojąco. Przy poruszaniu się nie brzęczą ogniwami — iść, bowiem godzi państwo — lew — zawieszony jest na trójkolorowej wstędze w barwach narodowych: biało-czerwono-niebieskiej.

Do udzielania ślubów upoważniony jest w Czechosłowacji nie tylko kierownik urzędu stanu cywilnego. Tę honorową powinność często wykonują radni lub posłowie. W dniu mojej wizyty w praskim ratuszu udzielał ślubów radny Staromiejskiej Rady Narodowej. W dniu tym przed ślubnym „ołtarzem” przewinęło się 12 par. Nie wszyscy z dzielnicy Praga — Stare Miasto, bo o zaszczyt ślubowania miłości i wierności małżeńskiej w ratuszu ze słynnym zegarem Orloj ubiega się wiele czeskich par. Za taką przyjemność trzeba zapłacić dodatkowo 500 koron, o ile żadne z narzeczonych nie ma stałego meldunku w dzielnicy Stare Miasto. Ale oszczędnych z reguły Czechów wydatek ten nie przestrasza. Chcą mieć ślub na przysłówowe tysiąc fajerek.

Niektórzy nowożeńcy zdobywają się na jeszcze bardziej wystawne śluby. Fundują sobie uroczystości iście królewskie w starych zamkach, np. w Karlstynie lub Krziwoklacie, które przed wiekami były miejscem schadzek czeskich monarchów. Magia dobrej tradycji spełnia dziś w Czechosłowacji rolę nie mniejszą niż niegdyś wiara w czar lubczyka.

Każdą uroczystość zaślubin kończy składanie życzeń. Nawet ten moment w Czechosłowacji nie przebiega zwykłowo, więcej tam niż u nas uroczystej ceremonii. Najpierw podchodzi do młodej pary urzędowy mistrz ceremonii, później świadkowie, rodzice i pozostali goście. Przed małżonkami stojącymi ciągle niemal na baczność przesuwają się długa kolejka powinowatych i znajomych. Wręczenie kwiatów nie jest tak masowe jak u nas, całowanie się też o wiele radsze. Pod tym względem Czesi przyjęli chłodniejszy styl społeczeństw zachodnich. Weselne przyjęcia odbywają się na ogół w restauracjach. Nikt nie martwi się,

czy będzie czym uraczyć gości. O zaopatrzeniu czesiosłowackiego rynku lepiej się tu nie rozpowiadać, żeby nie pogłębiać narodowego kompleksu.

Przejdźmy raczej na inny tor miłosnej tematyki. Jak się kojarzą młode pary za naszą południową granicą? Rozmaicie — w pracy, na uczelni, u znajomych, w kawiarni, parku, metrze itp. A jeśli ktoś sam nie

znajdzie wybranki (ńca) serca — przychodzi mu z pomocą... komputer.

Czechosłowacja jest jedynym krajem demokracji ludowej, gdzie do kojarzenia małżeństw wprężniono maszynę liczącą „Mińsk-32”. Co kwartał komputer wchłania oferty matrymonialne około 8 tys. samotnych obywateli Czechosłowacji. „Mińsk” dobiera komu z kim najlepiej byłoby żyć i wyrzuca adresy najodpowiedniejszych partnerów (ek) życia. Zwykle panowie otrzymują bogatszy zestaw adresów, zaś panie (szczególnie te po czterdziestce i z kilkorgiem dzieci) muszą zadowolić się dwoma lub trzema ofertami. I to niekoniecznie!

Choć przyznać trzeba, że południowi sąsiedzi nie przywiązują tak wielkiej jak my wagi do zaczyna- nia rodziny od początku. Zjawisko samotnej matki z dzieckiem czy

dzieci nie budzi takich wstrząsów jak u nas. W bogatych rubrykach matrymonialnych w prasie — z „Rudym Pravem” włącznie! — spotkać można dużo ofert panów gotowych do poślubienia dziecięcej partnerki. Przypuszczam, że dyskretna komputerowa swatka wchłania również niemało zgłoszeń panów, którzy nie wykluczają ożenku z panią już wyposażoną w dzieci.

Jak wynika z informacji doc. Jerzego Prokopca — twórcy komputerowej swatki, co trzeci mężczyzna nie wyklucza partnerki z dzieckiem. Z analizy zgłoszonych do komputera żądań wynika, że mężczyźni częściej niż kobiety stawiają warunek posiadania po ożenku dzieci. Na przykład tylko 2 proc. „komputerowanych” mężczyzn wyklucza potrzebę „przychówku”, zaś w przypadku kobiet wypełniających ankietę matrymonialną aż 7 proc. nie chce dzieci w przyszłym małżeństwie (zwykle są to te panie, które już mają dzieci i nie chcą rodzić kolejnych).

Praska swatka komputerowa nosi nazwę „Kontakt”. Można się z nią zetknąć w każdym kiosku z gazetą. Cena jednego egzemplarza — 2,5 korony. Formularz oferty składa się z osmiu stron formatu maszynowego, wypełnionych najróżniejszymi pytaniami dotyczącymi obu partnerów, tzn. samej (go) siebie i kandydatki (a) do ożenku. Trzeba wypełnić ponad 100 rubryk. Od wieku, wagi, wzrostu, wykształcenia po zamiłowania i poglądy na wierność małżeńską. Dla potrzeb komputerowej swatki bardzo ważna jest rubryka: „Przeszkadzałoby mi, gdyby partner...” Po kropkach następuje wyliczenie aż 28 wad, z których trzeba wykreślić pięć szczególnie nieznosnych dla wypełniającego ankietę. Gotowy formularz „Kontakt” przesyła się na adres: Praha 2, skrytka poczt. 120-62, placąc 70 koron za komputerowe wybieranie. „Mińsk 32” co kwartał przeprowadza w swym wnętrzu elektroniczne rendez vous tysięcy samotnych pań i panów, którzy w owym czasie nadesłali oferty matrymonialne.

Wynaleziony w 1967 r. „Kontakt” funkcjonuje od tej pory, co może znaczyć, iż mechaniczna swatka uzyskała niezłą markę na damskomęskim rynku serc. Jak układa się pozycje komputerowych małżeństw — nikt dotąd nie badał. Sądząc z motto „Kontakt” wziętego z Jana Jakuba Rousseau: „Trzeba trochę podobieństw, aby się rozumieć i trochę różnic, aby się kochać” — komputer nie kojarzy par wyłącznie według wspólnych zainteresowań. A więc rozwody z powodu monotonii chyba nie grożą.

Polaków może nieco szokować praski komputer matrymonialny, ale kto wie, czy przy coraz bardziej narastającym zjawisku samotności w tłumie człowiek końca XX wieku nie powinien korzystać z wynalazków cywilizacyjnych. Nawet w sferze doboru partnera (ki)!

Czechosłowacja odważa się pierwsza w naszym obozie sięgnąć po nowy sposób kojarzenia par. 15-letni okres funkcjonowania „Kontakt” sugeruje, że komputer może pomóc rozwiązać smutek przynajmniej części samotnych pań i panów. Może nie tylko nad Weitawą? Przecież przed „ołtarzem” nikt nie pyta partnerów, w jaki sposób się poznali. Ważne, że stoją na ślubnym kobiercu i deklarują chęć wspólnej drogi przez życie. Nasz mistrz miłości romantycznej Adam Mickiewicz w końcu ożenił się z prozaicznie wyswaną wybranką.

HELENA
PILIPIUK-VANKOVA

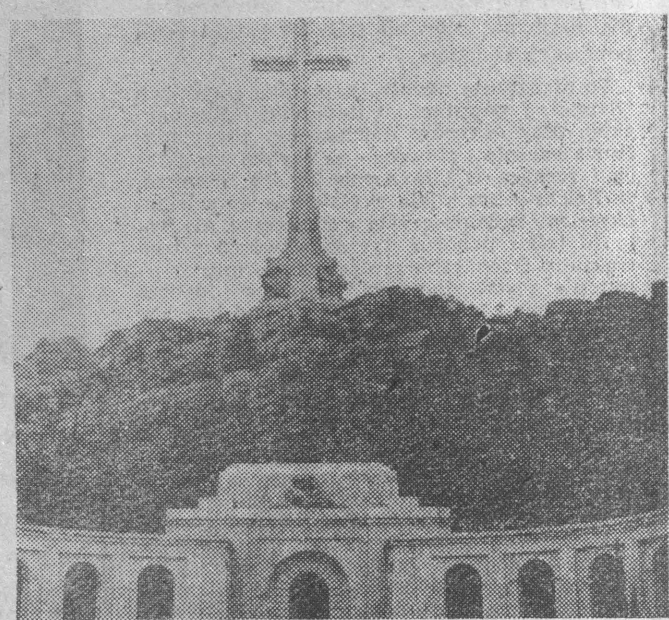
W kraju corridy



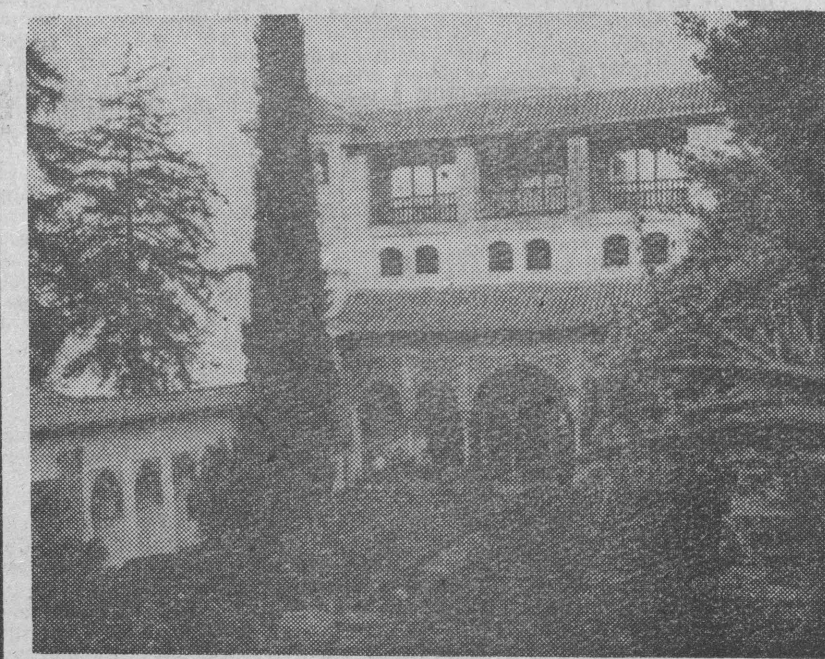
Charakterystyczny widok na ulicach Toledo — sprzedawca ceramiki, który swój towar powierzył grzebiącym symbolicego oświłka

Hiszpanie przybliżyli nam nieco ostatnie mistrzostwa świata w piłce nożnej „España 82”. Z ekranów telewizorów poznaliśmy jednak przede wszystkim murawy piłkarskich boisk, nieco widoków miast, w których grali futbolci festiwalu „piłki kopanej”, nieco piosenek. I — to właściwie wszystko. Niewiele było szczegółów, którzy towarzyszyli naszej „srebrnej” drużynie.

W tym turystycznym kraju był nasz fotoreporter — KRZYSZTOF SWIDERSKI. Wykorzystując spędzony tam czas między innymi na zrobienie serii zdjęć. A było co fotografować! Kraj ten jest bardzo malowniczy, nie dziw zatem, że każdego roku zjeżdża tu wielu turystów aby odechnąć specyficzną atmosferą Hiszpanii, uroczymi zakątkami starych miast, które niejednokrotnie zawierają w sobie prawdziwe perełki wschodniej architektury. Co zaś m.in. w Hiszpanii obejrzeć można — prezentujemy na zdjęciach.



Valle de los Caídos — Dolina Poległych. Górąjący nad doliną krzyż ma 150 metrów wysokości, zaś sama świątynia, długości kilkuset metrów, wykuta jest w litej skale.



Hiszpania jest krajem ogrodów. Oto jeden z nich w Grenadzie.

Daleko stąd do kurpiowskiego lasu

Zapada już zmierzch, gdy Janina Brzostowska kończy polewanie równiutko przystrzyżonego trawnika. I choć mężczy ja nieco to zajęcie, musi to robić dwa razy dziennie. Inaczej równiutki prostokąt soczystej zieleni szybko zamieniłby się w mialki proszek. Od kilku już dni słupek rtęci nie spada poniżej plus 37 stopni Celsjusza, a na kalendarzu rozpoczęła się właśnie trzecia dekada grudnia...

Janina jest jedną z czterech córek Wandy Choromańskiej, którą wojenna zawierucha rzuciła do zachodniej Australii. Mąż — Bronisław pozostał gdzieś na frontowej linii w Afryce. Początkowo planowali powrót do kraju, potem zabrakło już sił i możliwości. Córki znalazły swoich towarzyszy życia, więc i ona postanowiła zostać między nimi. Tak minęło 40 lat w Perth.

W miastach zamieszkuje blisko 80 proc. ludności Australii zachodniej. Wśród nich trafiło na ten kontynent jeszcze wówczas, gdy kończyła się II wojna światowa. Tych, którzy przybyli tu w ostatnich latach jest stosunkowo niewiele. Najczęściej „dobijali” do rodzin, które osiedliły się znacznie wcześniej.

Dzielnice mieszkaniowe stolicy stanu — Perth to przeważnie parterowe domki jednorodzinne, otoczone pięknymi ogródkami. W jednej części miasta dominują kultura i obyczaje europejskie, w drugiej zaś amerykańskie. Oprócz Polaków często spotkać można również emigrantów z Jugosławii, Włoch lub Turcji. Łą-

czą ich mocne więzi, tworzą własne kluby, swego rodzaju „klany”. Nie stronią jednak od kontaktów z przedstawicielami innych narodowości. Nie do rzadkości należą nawet związki małżeńskie np. Włocha z Turczynką.

Janina Brzostowska miała 16 lat, gdy pierwszy raz stanęła na australijskiej ziemi. Krótki pobyt w obozie dla emigrantów i potem już normalny rytm obowiązków między domem i pracą, o którą przecież łatwo nie było. Zaczynała od pakowania gwoździ w miejscowej fabryce. Zarobki starczały na wyżywienie. Dopiero po siedmiu miesiącach pobytu w Perth mogła kupić pierwszą sukienkę i płaszcz. Nadchodziła właśnie zima.

Dwa lata potem poznała Richarda. Przypadli sobie do gustu, choć z porozumieniem się były kłopoty. Janina dopiero „raczkowała” w angielskim. Dlatego nawet dziś śmieje się, gdy wspomina randki na bulwarach Swan-Avon, podczas których — zdarzało się — nie zamienili ze sobą nawet słowa.

Richard zmarł dwa lata temu na zawał. Janina została sama. Pracuje w szpitalu. Czas wolny spędza u matki, lub u jednej z pozostałych siostr. Czasem wpada również do „Cracovii”, gdzie od lat spotykają się Polonusy. Mają co wspominać.

Klub „Cracovia” należy do najaktywniejszych placówek tego typu w Australii, choć na nadmiar pieniędzy nie narzeka. Działa tu wiele sekcji sportowych, z których największym powodzeniem cieszy się koszykówka i piłka nożna. Przed sześcioma laty piłkarze „Cracovii” weszli do I ligi, zdobywając następnie mistrzostwo Australii. Dziś niestety to już historia.

Coraz większe sukcesy odnoszą tu do działających w tym samym klubie pod kierownictwem Longina Szymańskiego zespół pieśni i tańca „Mazowsze”. W jego składzie tańczy również wielu przedstawicieli

innych narodowości, którzy często poza słowami wykonywanych piosenek, po polsku nic innego powiedzieć nie potrafią.

Ostatnio na przedmieściach Perth klub „Cracovia” zakupił nową działkę, na której trwa już budowa nowoczesnego ośrodka kulturalno-sportowego. Znajdą tu się przestronne hale gimnastyczne, boiska i inne urządzenia sportowo-rekreacyjne. Również „Mazowsze” już wkrótce będzie mogło kontynuować działalność w nowych pomieszczeniach. Planuje się również wzniesienie budynku dla chóru polonijnego, szkoły tańca dla osób w starszym wieku i szkoły polskiej.

Pani Wanda Choromańska mieszka przy Hector Street, Niski, biały płotek, tuż za nim tuje, świerki i kwitnące oleandry. Na grządce pod ścianą domku — a jakże — fasola, mak, ziemniaki. Nieco dalej — niebieskie chabry i kankole. Nasiona udało się przemycić podczas ostatniego pobytu w rodzinny w Polsce w 1978 r. Początkowo obawiała się, że nic nie urosnie. A tu — jak w polskim życiu, tyle że wypielegnowane.

— U mnie, starej, święta są cały rok. Do pracy już nie

chodzą, ale oszalałabym z nudów. Właśnie skończyłam remont domu. Robiłam prawie wszystko sama. Córki pomogły tylko posprzątać. Teraz też nie wiem co mam robić. Chyba skoczę do King's Park. Trochę relaksu nie zaszkodzi.

— Nie mogę doczekać się już tych świąt. W tym roku przyjadą do mnie córki z rodzinami. Przepadam za wnuczkami, które przecież — poza Olą — Polki na oczy jeszcze nie widziały.

Ubiegłoroczna wyprawa dla 20-letniej Oli Henderson była

mię, obecnie jest na trzecim roku medycyny.

University of Western Australia jest największą uczelnią Australii Zachodniej. Na dwudziestu kilku wydziałach studiuje ponad 7 tys. osób. Szybko okazało się, że chętnych do podnoszenia kwalifikacji jest o wiele więcej. Przed sześcioma laty przekazano więc do użytku nowoczesną bryłę Murdoch University. Uczy się tu młodzież ze wszystkich stanów Australii, nierzadko również z innych kontynentów.

Paul Wanda nie chce sama ubierać choinki. Zresztą „surorową” broń jej tego wnuczek. Obiecały, że dwa dni przed wigilią wpadną.

Bruderszaft z kangurem

wielkim przeżyciem. Poprzez dził jak rok pracy u farmera. Teraz śmieje się: opłaciło mi się dość krowy. Zwiedziła Warszawę, Kraków, Częstochowę, Wieliczkę, Trójmiasto.

— Z pewnością jeszcze tam wrócę, bo wszystkiego zobaczyć nie zdążyłam.

Ola mówi po polsku. Uczęszczała do polskiej szkoły przy Brisbane Street. Pod okiem pani Harasymow poznawała geografie, historię i język polski. Podobnie zresztą jak starszy brat Janek i siostra Katarzyna. Potem rozpoczęła studia na University of Western Australia. Ma już za sobą bioche-

zrobić co trzeba. Szkoda tylko, że choinka jest sztuczna. Do kurpiowskiego lasu jednak stąd daleko.

— Wnuczki to zawsze robią dużo miejsca pod choinką, żeby jak największe upominki dla nich tam zmieścić. To już duże dziewczyny, ale lubią dostawać prezenty. Zresztą chyba jak każda baba. Ja też.

— Nigdy nie mogłam przyzwyczaić się do upałów w Boże Narodzenie. Kiedy jeszcze mieszkałam pod Kolnem, w Polsce, to człowiek co roku martwił się, by chociaż na święta spaść śnieg. A tu — 42 stopnie już bywało.

— Do wieczery siadamy jak w starym kraju — wraz z pierwszą gwiazdą. Właśnie o

tej porze ludzie w Polsce wracają już z pasterki. To co będzie się różniło od rodzimych potraw. U nas też na pewno zabraknie karpia, tyle że zupełnie z innych powodów. Będzie za to kapusta z grzybami, kluski z makiem, zupa owocowa, barszczyk z uszkami.

No i oczywiście opłatek. Potem — wytrawne wino i ciasto. Nie muszę dodawać, że wszystkie te potrawy są postne. Specjały z lodówki powodują na stół dopiero po powrocie z pasterki. Wcześniej jednak będziemy śpiewali koledy. Będziemy też słuchali polskich płyt, oglądali filmy nakręcone podczas naszych pobytów w kraju, a także posłuchamy nagrań jakich sami dokonaliśmy w Polsce. Muszę

przypaść, że właśnie w takich chwilach wrzuszam się ogromnie. Myślami jestem w kraju, wśród rodziny. Mam tam przecież jeszcze brata i trzy siostry. Córki podchodzą do tej sprawy odrobinkę inaczej. Przestałam im się już dziwić. Mają własne rodziny i problemy. Wnuczka też już nie rozumieją dlaczego ja ciągle jeszcze przeżywałem te rozłąki. Kiedyś nawet zdenerwowałam się, gdy jakaś dyskusja, jak zwykle, zesłała na sprawy polskie. Teraz oni w ogóle wolą nie poruszać tego tematu. A jeśli już — czynią to inaczej. Chyba ich przekonałam.

— Potem wychodzimy do polskiego kościoła na paster-

kę. To niedaleko, idziemy pieszo. Mnie już trochę ciężko, lata dają znać o sobie, a i choć to noc — jest gorąco. Wystarczy letnia sukienka. Po pasterce dzieci jadą do swoich domów. Z mną zostaje któraś z wnuczek. Święta spędzamy też razem, podobnie jak Sylwestra. I wtedy również częściej mówimy o Polsce.

I tak już od czterdziestu lat. Z każdym rokiem przybywa tu polskich rodzin, chociaż ostatnio często obserwuje się przypadki małżeństw mieszanych. Przychodzą na świat dzieci, które mają bardzo dobre warunki po temu, by poznać język polski. Rzecz w podjęciu rodziców do tego zagadnienia. Jak dotychczas sytuacja może napawać optymizmem. W zdecydowanej większości kulturowe są polskie zwyczaje ludowe, byt może stanowiące dla tubylców coś egzotycznego, ale właśnie chyba tym bardziej interesującego.

Głośno w Perth o polskiej kulturze. W księgarniach często spotkać można dzieła polskich autorów, w kinach i tv odbywają się projekcje polskich filmów. W największym na półkuli zachodniej teatrze — Perth Entertainment często występują polscy artyści. Oprócz popularnych zespołów rockowych Hittie River Band czy Sherrbert młodzi lubią posłuchać muzyki polskiego „Krzaka”, „Budki Suflera” czy „Kasy Chorych”. Mieszkańcy tu Polacy mają też swoje pragnienia i marzenia. Zdradzają je tylko w życzeniach składanych sobie z takich okazji jak Święta Bożego Narodzenia czy Nowego Roku. Jest wśród nich i takie: do zobaczenia w kraju.

WAWRZYNIEC
KŁOSIŃSKI



NA RYSUNKU: kościółek modrzewiowy w Wieliczkach z drugiej połowy XVII wieku.



Architektura z polskiej duszy stworzona

Dawniej w północno-wschodniej Polsce, porośniętej gęstymi lasami, budowano przede wszystkim z drewna, mimo że obok powstawały kamienne i ceglano-kamienne, a także przez następne wieki nie rezygnowano z drewna nawet przy wznoszeniu grodzów, zamków, pałaców i pałaców.

W powieści „Kazimierz Wielki” autorstwa Jerzego Stępińskiego, a za tego króla, a także przez następne wieki nie rezygnowano z drewna nawet przy wznoszeniu grodzów, zamków, pałaców i pałaców.

sakralnych — wiejskich kościółków drewnianych. W Polsce mamy ich około 1000. Najpiękniejsze i najstarsze z nich znajdują się w Małopolsce, Śląsku i na stokach Beskidów. W naszych okolicach jest ich zaledwie kilka, wśród nich najstarszy, modrzewiowy kościółek z XVII wieku w Wieliczkach koło Olecka. Zbudowali go Polacy, potomkowie osadników przybyłych tutaj z głębi Polski.

Owe kościółki drewniane, wszystkie o bardzo wysokich dachach i strzelistych dzwonnicach, stanowią zachwycające przykłady logicznej konstrukcji, w której zawarte jest wielkie bogactwo form i motywów ludowych, z rodzimych tradycji, kultury i — jak to się mówi — z polskiej duszy stworzonych. Przybrały one bowiem w szaty architektoniczne, na jakie

dzisiejszy wzorem nie tylko dla architektury sakralnej, ale i świeckiej w każdym regionie Polski. Ta piękna forma stronomicznego dachu, często traktowana nieścisłymi jako wyjątkowy atrybut regionu górskiego, nie daje się jednak wytłumaczyć jedynie przesłankami racjonalnymi tego regionu, wynikającymi z czynników klimatycznych (łatwość odprowadzenia dużej ilości opadów), lecz jest ogólnopolską tradycją architektury ludowej powstała zapewne nie bez wpływu gotyku.

Inna rzecz, że podziwiane dziś bryły drewnianych świątyń nie były skończonymi zamierzeniami jednego projektanta — budowniczych, lecz poszerzone elementami tych budowli były dodawane stopniowo w ciągu stuleci. Ale mimo to tworzą harmonijne kompozycje, które w krajobrazie uzupełniają zwyczajne stare rozłaziste drzewa.

Przy drewnianych kościółkach, zwłaszcza budowanych w XVII i w wiekach następnych, stoją drewniane wieże — dzwonnice. Budowle te przypominają czasem architekturę obrotowych baszt. Obok funkcji związanych z kultem religijnym pełniła one również rolę strażniczą na wypadek pożaru. Nakryte są strzelistymi stożkowymi hełmami, w kształcie smukłych igieł albo najeżonych wieżozłoci, naśladując popularny hełm krakowskiej Wiosny Mariackiej. A tam, gdzie zamieszkuje ludność haliorska, hełmy przybierają charakterystyczne kształty cebulaste.

Zgrabne i pięknie ozdobione bryły drewnianych świątyń wiejskich, doskonałe ich konstrukcje ciesielskie oraz organiczne związanie z ich rodzimym krajobrazem stanowią niepowtarzalne w innych krajach wartości architektury ludowej. Architektura ta — że posłuży się słowami wielkiego polskiego architekta, Stanisława Niekurskiego — „po prostu, jak inne sztuki piękne, razem z poezją i muzyką, jest najsłabszymi kwiatami zbiorowej duszy narodu. I patrząc na to dorobek nasz w dziedzinie architektury nie potrzebujemy uciekać się do kopii cudzych ludów — przeciwnie — z dumą stwierdzamy, że szaty architektoniczne starej Polski są przepiękne.”

Tekst i rysunek
HENRYK WILK

rek a-moll op. 17 nr 4 i Etudia c-moll op. 10 nr 12 „Revolucyjna” w wykonaniu Janusza Olejniczaka, trzydziestoletniego dział pianisty, laureata Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fr. Chopina w Warszawie (1970 r.) oraz Międzynarodowego Konkursu im. Alfredo Casella w Neapolu (1971 r.). Płyta ta była dość dawno w sprzedaży, a przypominamy

Chopin

ją z kilku powodów. Jest to pierwsza i od razu bardzo udana płyta i tego młodego pianistę, nazwanego przez krytykę z RFN „wielkim wirtuozem naszych czasów” i pierwszą płytą młodej firmy fonograficznej. Powodem „świętej” natury jest utwórczość na niej Scherza h-moll, które w części środkowej zawiera cytat koledy „Lulajże Jezuniu”. Jest to jedyny cytat w dojrzałej twórczości Chopina, a polska koleda tak przejmująco brzmiąca, wyrażała tęsknotę kompozytora za ojczyzną, kiedy spędzał swe pierwsze Święta Bożego Narodzenia na obczyźnie.

sprytliwych konkurentów. Poważny start artystyczny miał dziesięć lat wcześniej od Olejniczaka, zostając w 1960 roku laureatem Konkursu Chopinowskiego. Sztukę swą doskonalił „dalej na mistrzowskich kursach prowadzonych przez słynnego włoskiego pianistę Artura Benedettiego Michelangeli w Arezzo. W Polsce Godziszewski uchodził za najlepszego wykonawcę muzyki Szymanowskiego, Debussy'ego i Ravela. Że równie świetnie gra Chopina zaświadcza o tym wydane ostatnio płyty.

Pierwsza wydana przez Wifon (LP-016) zawiera na-

stępujące utwory: Polonez-Fantazja As-dur op. 61, Ballada F-dur, 2 Etiudy z op. 10 E-dur i cis-moll, 3 Mazurki op. 63, Preludium As-dur (bez opisu), Nokturn F-dur op. 42, Płyta druga, wydana przez Polskie Nagrania (SX-2003) otwiera nowa edycja dzieł wszystkich Chopina (pierwsza utrwalała została w latach pięćdziesiątych) a zarazem zapowiadającą już od dawna Fonotecę Narodową. Jerzy Godziszewski utrwalił na tej płycie wszystkie Preludia Fryderyka Chopina.

Obie płyty początkowymi melomanom dostarczą wiele satysfakcji. Znalazły się na nich kompozycje wręcz popularne, znane z różnych transkrypcji i aranżacji, jak Etudia E-dur czy Preludium As-dur z op. 28 (duet Marek i Wacek) czy Preludia e-moll i h-moll (Płtita). Ale i pozostałe utwory zaskakują na szerszą popularność łącząc w najciekawszy — chyba stop — takie właściwości jak bezpośredniość wyrazu, głębię wypowiedzi i mistrzostwo formy. Polecamy płyty i zapraszamy do głosników w niedzielę 26 grudnia o godz. 17.15.

MELOMAN

Autorzy „Cennika znaczków zagranicznych” do wydań tematycznych zaliczają znaczki i bloki poświęcone faunie, florze, malarsztwu i sportowi. Według nich, cieszą się one największym powodzeniem i w związku z tym są odpowiednio wyżej wyceniane. W praktyce — jedynie flora i fauna znajdują się w czołowie zainteresowań polskich filatelistów. Przy tematyce sportowej ograniczają się oni do niektórych dyscyplin (piłka nożna, żeglarsstwo) lub imprez (olimpiady, mistrzostwa świata w piłce nożnej). W przypadku malarsztwa ograniczenia mają charakter terytorialny (Europa, USA, Daleki Wschód).

Jednocześnie coraz większym powodzeniem cieszą się takie tematy jak: kosmos (po kilkuletniej przerwie), statki, Europa Cept, papież Jan Paweł II i jego podróże oraz Boże Narodzenie.

Pierwsze bożonarodzeniowe znaczki wydały jeszcze w latach 50-tych: Australia, Kuba, Kostaryka, Hiszpania, Liechtenstein i Watykan. Obecnie pocztę ponad stu krajów uwzględnia Boże Narodzenie i Nowy Rok w swoich planach emisyjnych.

Znaczki te charakteryzuje różnorodność tematów:



malarsztwo, rzeźby, koledy, bajki, kwiaty i ptaki. Dzięki nim możemy dowiedzieć się o zwyczajach świątecznych obowiązujących w tak różnych i egzotycznych państwach jak Samoa, Belize (dawny Honduras Brytyjski).

Na półkuli południowej Boże Narodzenie wypada w lecie i tym samym w tym samym czasie w krajach: „Christmas” (Anglia, USA i większość krajów Brytyjskiej Wspólnoty), „Noel” (Monaco

i byle kolonie francuskie), „Navidad” (Hiszpania, kraje Ameryki Łacińskiej), „Natal” (Portugalia, Brazylia), „Natale” (Włochy, San Marino), „Wahnenachten” (RFN, Austria), „Milid” (Malta) i „Nollag” (Irlandia).

Jedną z barier jakie stoją przed filatelistami — jest duża ilość znaczków i bloków w danym temacie. W przypadku Bożego Narodzenia, wszystkie niemal kraje prowadzą umiarkowaną politykę emisyjną, ograniczając się do jednej serii w ciągu roku. Jest to dodatkowo argument za tym tematem.

Niektóre kraje (Japonia, Bułgaria, Związek Radziecki) wydają znaczki z okazji Nowego Roku, które są również przyjemnym akcentem w korespondencji świątecznej. Niestety, wydaje się nie zauważać tego nasza poczta, która ograniczyła się do dwóch znaczków w 1979 roku (motywy bożonarodzeniowe w malarsztwie na szkle) i dwóch kart pocztowych.

NA ZDJĘCIU: reprodukcje trzech znaczków wydanych w br. z okazji Bożego Narodzenia przez pocztę Liechtensteinu.

KOLEKCJONER

MYŚLI PRZEKORNE

Z chodzenia po koledze i u moich tego świata niewiele godności ubogiego, ale własnego — ojczystego ziółka.

Kraśninski nie Salomon... i z pustego najeje.

Z tym światem nie jest aż tak źle dopóty, dopóki dorosli potrafią jeszcze płakać, tak, jak dzieci.

Awioterapia: leczenie przyziemności bujaniem w obłokach.

ZBIGNIEW WAYDYK



FRANCJA. Z myślą o nadchodzącym karnawale prezentujemy propozycję paryskiego projektanta mody.

CAF—Keystone

FF—felieton faktu (świąteczny)

Każdy, kto wierzy, że z atomu da się wytworzyć energię, jest lunatykiem. (Sir Ernest Rutherford, atomista, laureat Nagrody Nobla, sąd ten wyłożył w 1937 r.).

Nie tańcz głupich bredni! (Anna Popowa o balecie Strawinskiego „Ognisty ptak”).

Czarująca mechaniczna zabawka. (Lord Kitchener, gdy w 1916 roku pokazano mu w Londynie jeden z pierwszych czołgów).

Nie, dziękujemy, barwy są zbyt głośne. (Dyrektor Luwru, gdy zaproponowano mu sprzedaż „Kapiących się kobiet” Renoira).

Jest taka, bo Leonardo czuł się homoseksualistą. (Freud o „Monie Lizie”).

Nigdy się czegoś nie nauczy i nigdy niczego nie osiągnie. (J. Albrechtsberger, nauczyciel Beethovena o swym uczniu).

Narodowy socjalizm nie ma najmniejszego zamiaru atakować jakiegokolwiek narodu w Europie. (Hitler w 1935 r.).

Rowerzy trzykołowe uważa się za rowery dwukołowe z trzema kołami. (Obwieszczenie British Overseas Airways Corporation, Londyn 1960).

Diesel jest marzycielem. Jego motor jest dla celów praktycznych nieużyteczny. (Opinia ekspertów szwedzkiego banku, w którym Diesel chciał zaciągnąć pożyczkę).

Na naszym fakultecie nie są dopuszczane tematy nielubiane. (Odmowa dziekana Wyższej Szkoły Technicznej w Monachium, gdzie w 1913 r. Max Diekmann chciał wygłosić odczyt o telewizji).

Pierwsze, co musimy zrobić to zamówić nowe znaczki pocztowe z moim wizerunkiem. (Książę Karol Austriacki na wiadomość o śmierci cesarza Franciszka Józefa).

Gdy Napoleon trzymał rękę pod marynarką, był to symbol jego dumy i godności. (G. Planie w książce pt. „Napoleon” W rzeczywistości cesarz miał kłopoty z żółdkiem).

Indianie Siuksowie są aryjczykami. (Rozstrzygnięcie Narodowosocjalistycznej Izby Prasowej w hitlerowskich Niemczech, gdy okazało się, że jeden z wybitnych dziennikarzy miał babkę Indiankę ze szczerpu Siuksów).

(ze „Słownika głupstw” Egona Jamesona)



W dniach 3-12 grudnia br. w Gdyni rozegrane zostały Drużynowe Mistrzostwa Polski. Były to zawody zamykające tegoroczny olimpijski sezon.

W turnieju 1 ligi brało udział prawie 200 szachistów z 12 klubów. Do Gdyni przyjechali najlepsi — arcymistrzini Erel-ska, arcymistrzini Kuligowski i Schmidt, 14 mistrzów międzynarodowych i 4 mistrzynie międzynarodowe.

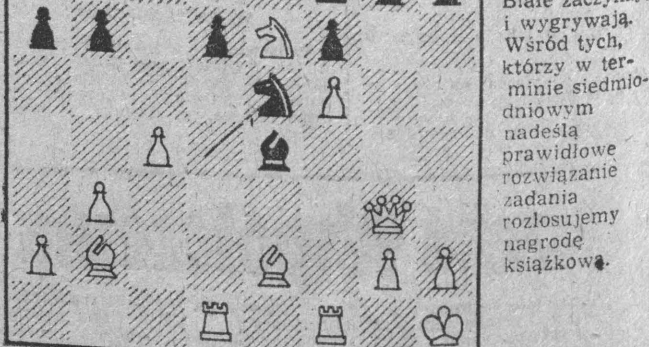
Faworytem mistrzostw był wielokrotny triumfator tych rozgrywek — obrońca mistrzostwa świata tytułu — zespół Maratonu Warszawa. Wydawało się, że drużyna mająca w swym składzie m.in. arcymistrza i 4 mistrzów międzynarodowych nie będzie miała równych sobie w walce o pierwszeństwo.

Toczył się zwycięstwo okazującego tytułu — zespół Maratonu Warszawa. Wydawało się, że drużyna mająca w swym składzie m.in. arcymistrza i 4 mistrzów międzynarodowych nie będzie miała równych sobie w walce o pierwszeństwo. Toczył się zwycięstwo okazującego tytułu — zespół Maratonu Warszawa. Wydawało się, że drużyna mająca w swym składzie m.in. arcymistrza i 4 mistrzów międzynarodowych nie będzie miała równych sobie w walce o pierwszeństwo.

M. Wiese (Chemik Bydgoszcz) E. Sosnowska

OBRONA SYCYLIJSKA

1.e4 c5 2.Sf3 d6 3.d4 c4 4.Sd4 Sg6 5.Sc3 g6 6.Gc3 Gg7 7.f3 Se8 8.Hd3 0-0 9.d5 0-0-0 10.Gd4 11.H4 H5 12.Kd1 Wf8 13.Wc3 14.Hc3 H2+ 15.Kc1 Wc8 16.Hc3 Gb3 17.Gd3 e5 18.Gd3 e4 19.hg4 h4 20.Kd2 d4 21.Gd1 e4 22.H5 H2 23.Wc1 Hc4 24.Kc2 Gc4 25.Wd1 Gc5 26.Wb1 Wc7 27.G4 G4+ 28.Kf1 Gd1 29.Wc3 30.H4 H5 31.b1a1 podał się. (d4)



ZADANIE nr 13 Białe zaczyna i wygrywa. Wśród tych, którzy w terminie siedmiodniowym nadesła prawidłowe rozwiązanie zadania, rozlosujemy nagrodę książkową.

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM ŚWIĄTECZNYM

Po prawidłowym rozwiązaniu krzyżówki, litery w polach ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione w kolejności od 1 do 80 utworzą hasło, które wystarczy podać jako rozwiązanie całego zadania.

ZNACZENIE
WYRAZÓW

POZIOMO: 1) np. ubieranie choinki, 6) widowisko związane tematycznie z Bożym Narodzeniem, 10) należy nazywać ją po imieniu, 12) kutia lub barasz z uszkami, 13) od świętego Mikołaja, 14) jeden z darów złożonych przez Trzech Króli w stajence betlejemskiej, 15) A w PAP, 17) polowica Mieszka I, 19) samochód osobowy, 20) jeżeli chorych, to nazwa znanego białostockiego zespołu muzycznego, 21) uczeń szkoły wojewskiej, 24) ma spóźniony refleks, 26) choroba nerek, 27) ty raka, 28) okres wolny od

pracy, nauki, 29) niezbędne do kuligu, 32) jon z plusem, 34) inaczej opus, 37) istota kawiorka, 38) zwrócenie się do spoliczenia o podjęcie jakiejś akcji, 39) ciasto z bakaliami, 41) połowa metafora, 44) vis a vis sufletu, 46) babciny gramofon, 47) nie poszła w las, 48) roślina, z której nasion wydobyla się olej rycynowy, 49) skrzat, 50) wołanie na psa tresowanego, 51) część regionalnego stroju ludowego, 52) owoc południowy lub gąsienic.

POZIOMO: 2) przybieżeli doń pasterze, 3) koneser, 4) utwór sceniczny, 5) Ewa przedtem, 6) brzośnięta, 7) bombka albo lameta, 8) okres zabaw i balów, 9) do łapania się przy świątecznym stole, 11) popularny rower, 16) pomocnik baka, 18) zwierzę z uszkami, 22) rasa psa, 23) uroczysta wieczerza w przeddzień Bożego Narodzenia, 24) rodzaj kolorowego lampionu noszonego

przez koledników w okresie Świąt Bożego Narodzenia, 25) nad brzegami karłowatej polskiej rzeki, 30) biały, 31) imię popularnej spikerki TVP, 32) sławny tenor z Sosnowca, 33) np. dzielenie się opłatkiem podczas wierzchoz wigilijnej, 35) liturgiczna nazwa święta Trzech Króli, związana z poświęceniem mirry, kadzidła, złota, 36) ciepła tkanina, 39) wśród instrumentów dętych albo na głowie zakonnic, 40) tańiec kabaretowy, 42) lechby określające fazy Księżyca w pierwszy dzień nowego roku, 43) imitacja towaru na wystawie sklepowej, 45) kolednik przebrany za rogatę zwierzę.

LESZEK

Wśród czytelników, którzy w terminie 8-dniowym nadesła prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nagrodę książkową. Na kopertach (kartach pocztowych) prosimy umieścić dopisek: „Krzyżówka świąteczna”.

